

**9****Rok XVI****(798)****CENA 1.50 zł****4. 3. 73**

POLACY SĄ RACZEJ NARODEM BOHATERÓW NIŻ KOCHANKÓW.



ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

GRANDBOLOGIA

**ANDRZEJ
MAKOWIECKI****(1)**

UWERTURA HISTORYCZNO - ZACZEPNA

Rok po roku spisuję skromnym, reporterskim piórem historię tego miasta. Jest to historia uczuć zmiennych. Sławilem fabryki, opłakiwałem cmentarze, ulegałem wzruszeniu patrząc jak powstają nowoczesne elektrownie i wiadukty, wpadałem w złość na widok zaniedbanych, cuchnących brudem domów, nie ukrywałem miłości do starych parków i skwerów, po których w zimowe popołudnia krążą tylko bezpańskie psy, nie wstydzilem się swojej ironicznej sympatii do chojeńskich i bałuckich rynków, gdzie płuca ogorzałych straganiarzy eksplodują raz po raz histerycznym wrzaskiem reklamy, byłem dumny z nowych dzielnic mieszkaniowych, rozciągających granice Łodzi aż po puste, zarośnięte chwastami równiny, czapkowałem wielopiętrowym gmachom śródmieścia, asystowałem przy narodzinach Teatru Wielkiego i... przy śmierci Pijalni Piwa, zawsze starając się głosić pochwałę pięknej ludzkiej pracy i potępienie ludzkiego cwaniactwa.

(Dalszy ciąg na str. 6)

ANDRZEJ BLAJER

Miniony rok 1972 był w porównaniu do lat dzielących nas od zakończenia II wojny światowej, rokiem szczególnym. Obfitował bowiem w wydarzenia, których znaczenie dla sprawy zmniejszenia napięcia międzynarodowego i umocnienia pokoju na świecie można określić jako niezwykle doniosłe, a nawet przełomowe.

Należy tu odnotować znamienity fakt, jakim było zawarcie pierwszych porozumień w rozmowach prowadzonych między ZSRR i USA, a dotyczących problemu ograniczenia zbrojeń strategicznych. Wśród wydarzeń tego roku, rokowania **SALT (Strategic Arms Limitation Talks - rozmowy w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych)** wysuwają się zdecydowanie na czoło jako niewątpliwie najważniejsze negocjacje w historii powojennej dyplomacji.

Od chwili rozpoczęcia tych rozmów przed trzema laty, towarzyszyło im niemal nieprzerwanie ogromne zainteresowanie na całym świecie, całkowicie zresztą uzasadnione, bowiem zdecydowana większość ludzi zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że od wyników SALT może zależeć los naszej cywilizacji.

(Dalszy ciąg na str. 3)

ANDRZEJ SZONERT

PARYŻ RÓŻNIE WIDZIANY

(Korespondencja z Francji)

Nieskomplikowany jest mechanizm podróży. Samolot, pociąg, samochód pozwalają nam oddalić się zarówno od najbliższych, jak i od naszych utartych nawyków i powszednich przyzwyczajęń. Wystarczy 1500 km, aby nasze dotychczasowe oceny i spojrzenia stały się relatywne i uległy nieprawdopodobnej wręcz transformacji. Banal nabiera walorów głębokiej prawdy, a wszelkie prawdy stają się banałem.

Spośród prawd w sferze sztuki tylko nieliczne znalazły swe miejsce jako takie w historii ludzkiej kultury i cywilizacji.

Nieubłagane sito czasu bezlitośnie obchodzi się także z ich głosicielami i prorokami. Być humanistą, to również znaczy niedowierzać i wątpić.

Gdy rozpocząłem pisać ten artykuł w Arles, byłem niemal przekonany, że malarz, który w tym miasteczku obciął sobie ucho, znalazł się w szczytowym punkcie zwrotnym między samou-

świadomieniem a zwątpieniem. Fakt samoagresji był patetyczny i przerażający jednocześnie. Fakt ten zmącił prowincjonalny spokój prowansalskiego miasteczka. W Paryżu, już wówczas o przyspieszonym pulsie życia, co najwyżej stały się li tylko zapiskiem w policyjnej kartotece jednej z prefektur.

W Paryżu dzisiejszym van Gogh prawdopodobnie nie targnąłby się na swoje zdro-

(Dalszy ciąg na str. 7)

**W najbliższych numerach
„ODGŁOSÓW”:**

- ♦ **ILIA ERENBURG** — reportaż z Łodzi
- ♦ **Nasze mieszkania**

ODGŁOSY

Ostatnie strony czasopism, magazynów, gazet to kolumny szczególnie ulubione przez czytelników. Większość z nas zaczyna swe lektury właśnie od prezentowanych tam różnych „oslich łatek”, żeby się trochę pośmiać, albo przynajmniej stać się świadkiem jak inni naszmiewają się z siebie. Pikanterii dodają specyficzny język i przewrotność poglądów, odbicie w krzywym zwierciadle, plotki i ciekawostki — samo życie. To niepodważalne prawa felietonistów i żartowiszczyków z powołania, ale także ludzi dowcipnych z profesji.

Tym ostatnim chcemy poświęcić nieco uwagi, gdyż nie narzekając na brak poczucia humoru, jesteśmy zwolennikami nie przekraczania pewnych granic nawet w zabawie. W piśmie „Nowy Medyk” ukazały się trzy notatki utrzymane w powyższej konwencji na temat łódzkiego środowiska literackiego. Zainteresowani, wierszami ramionami i nie zareagowali. Stwierdzili, że chyba nie warto zajmować się wygłupem młodych ludzi w piśmie adresowanym do garstki czytelników — studentów. Jednak aktualna jak zwykle „Polityka” w rubryce „Coś z życia” przedrukowała jedną z tych wiadomości z nieznacznie dosłownym komentarzem. Teraz już można okazywać pośmiać się kilka-

set tysięcy osób w kraju. Pośmiać, ale przy okazji dowiedzieć, jak to łódzcy pisarze nie chcą do Łodzi upuścić Herberta i innych luminarzy literatury, uważając, iż literackich geniuszy jest pod dostatkiem na Piotrkowskiej.

Zartując wyszliśmy na schody. Bo obie notatki powstały w oparciu o informacje kogoś „zyczliwego”, że zarząd Oddziału Łódzkiego ZLP nie dopuścił do odbycia poetyckiej imprezy w naszym mieście, nie chcąc tolerować konkurencji na własnym terenie.

Przy okazji można by poważnie porozmawiać o dewaluacji różnych imprez tego typu, które jak przysięga po deszczu wyrastają w całym kraju o różnych porach roku (ostatnio krutecznie pisało o tym „Życie Literackie” w nr 7). Ale nie o to nam w tym wypadku chodzi. Imprezy efemerydy umierają naturalną śmiercią, nie szkodzić specjalnie nikomu, jeśli nie liczyć niepożądanych wydanych na to cele pieniędzy.

Chodzi nam o coś innego. Po prostu całą zabawę zaaranżowaną w oparciu o nie istniejące fakty. Napisało nieprawdę. Znamy dokładnie przebieg wspomnianego „wydarzenia”, z którym od początku do końca łódzcy pisarze nie mieli nic wspólnego.

Opowiadając się za dyskusją, najostrzeższą nawet polemiką, doceniając rolę żartu i satyry, się śmiechu — musimy stanowczo zaprzeczyć „przebieg” dorabiania gęby ludziom, którzy sobie nieczym na to nie zasłużyli. Nawet gdyby to miało pozór niewinnej zabawy na ostatniej stronie, poważnych czy mniej poważnych, pism.

SOJUSZ PRACY I SZTUKI

Dwa ostatnie lata przekonały nas, że słowa: „tworzymy przez ludzi i dla ludzi”, nie są zwrotem retorycznym, że nie jest to sprawa doraźnej polityki, ale fundamentalna zasada jaką przyjęła partia w swej polityce społecznej. Osiągnięliśmy nienotowany w powojennym ewierświeczie postęp we wszystkich dziedzinach życia społecznego i gospodarczego. Znajdujemy się w przededniu sukcesu ekonomicznego. Udowodnił nam sobie wszyscy, że jak chcemy (i mamy ku temu odpowiednie warunki) potrafimy dobrze pracować. Jest to także ważny moment psychologiczny dla dnia dzisiejszego i najbliższej przyszłości, w której jeśli chcemy osiągnąć dalsze sukcesy, nasz wysiłek musi się jeszcze bardziej zintensyfikować. Większy wysiłek rozumieć jako zadanie dla wszystkich: dla ludzi nauki, organizatorów i kierowników życia gospodarczego, inżynierów i robotników, młodzieży. Postęp w każdej dziedzinie życia można bowiem osiągnąć tylko w jeden sposób — poprzez wysiłek ręk i wysiłek myśli, w tej organicznie z sobą powiązanej symbiozie. Zdobycze materialne na miarę potrzeb współczesnego człowieka to jednak dopiero połowa sukcesu...

Myśl ideologiczna i polityczna zawarta w Uchwale VI Zjazdu o niepodzielności spraw polityki, ekonomiki i kultury, nakazuje nam już teraz pilnie zwracać uwagę na to, by w praktyce społecznej znaleźć jak najwięcej miejsca dla nowych idei społecznych i kierunków określających styl życia nadchodzących lat. Model współczesnego człowieka, ideowo i uczuciowo zaangażowanego w budowę „drugiej Polski”, może powstać tylko w klimacie wysokiej temperatury intelektualnej, w atmosferze oddającej zarówno niepokój jak i nadzieję czasu i pokolenia, które ten model tworzy. Nie może być więc możliwe,

by powstał on bez udziału twórców, ludzi sztuki. Nowemu kształtowi Polski musi odpowiadać nowy kształt współczesnej sztuki, musi istnieć między nimi wzajemne sprzężenie, jako gwarancja sukcesu wszechstronnego, materialnego i duchowego.

Te myśli przyświecały organizatorom (Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki i „Hydrobudowa-4”), którzy wyszli z inicjatywą spotkania w Gdańsku twórców Portu Północnego z szeroką reprezentacją ludzi sztuki i kultury z całego kraju. W Gdańsku w ubiegłą środę doszło do pierwszego spotkania budujących port naukowców, konstruktorów i robotników z ludźmi pióra, malarskiego pędzla, kamery filmowej i fotograficznej. Spotkały się nie po raz pierwszy, dwa środowiska ogarnięte twórczym niepokojem poszukiwań, ale wszakże inaczej niż w przeszłości. Obecna więź jaka się niewątpliwie wytworzyła (a potwierdziły to z przebiegiem obrotów) może ożywić i wpłynąć na artystyczną wyobraźnię ludzi sztuki, budowniczym dać może świadomość i potwierdzenie, że tworzą rzecz wielką dla całego społeczeństwa, że przyoblekają w kształt materialny swym wysiłkiem ludzkie nadzieje. Istnieją bowiem wszelkie szanse ku temu, by nastąpiła więź społeczna, która potwierdzi — już w sposób konkretny — integracyjną siłę polskiej kultury.

Takie są cele i zamierzenia. Przez dwa lata twórcy — społecznicy będą penetrować środowisko budowniczych portu i problematykę morską. Za dwa lata, kiedy Port Północny będzie oddawany do eksploatacji, będą temu wydarzeniu towarzyszyć wystawy malarskie, pokazy filmowe, albumy fotograficzne, teki grafiki. Dokonać również będzie można przeglądu dorobku reportażów telewizyjnych i prasowych, którzy towarzyszą budowie od początku i ry-

walizują w nie ustającym przez owe dwa lata konkursie na najlepszy reportaż. Być może powstaną wiersze, opowiadania i powieści związane realiami (ale przede wszystkim uczuciem) z tą największą budową — symbolem gospodarczej ekspansji lat siedemdziesiątych.

Twórczy dialog został więc otwarty. Spotkał on się z aplauzem twórców. Podczas jednodniowego, „wstępного” spotkania przeszło trzytysięczna grupa ludzi sztuki zapoznała się z aktualnym stanem budowy (a jest już co zobaczyć! — wierzcie naocznie świadkowi) oraz zwiedziła laboratorium hydraulicznego Instytutu Gospodarki Wodnej PAN, gdzie znajduje się model portu w skali 1:80, który ma zagwarantować najlepsze rozwiązania wielu trudnych problemów.

W spotkaniu jakie się odbyło wieczorem w pięknej sali gdańskiego Ratusza Staromiejskiego doszło do bardzo interesującej i znamiennej wymiany poglądów. Przewodząc spotkanie kierownik Wydziału Kultury, tow. Jerzy Kwiatek, we wprowadzeniu do dyskusji podkreślił kulturotwórczą rolę dużych zakładów przemysłowych, symboliczne znaczenie takich inwestycji jak Port Północny i Huta „Katowice”, bliską więź, jaka łączy budowniczych z ludźmi sztuki. Chodzi o stworzenie artystycznego portretu człowieka pracy — stwierdził m. in. — co nie ma nic wspólnego ze zwrotem w kierunku „produkcyjności”. Program inspirowania twórczej powstaje w oparciu o realia życia i głos powszechnej opinii i żądań samych artystów. Udział artysty w najżywczej i najbardziej „naszej” sztuce życia pozwoli mu na stworzenie syntez naszych czasów, daje szansę na dzieło ważkie ideowo, i o wysokim artyzmie.

To przekonanie potwierdził w swych wypowiedziach sam twórca. Pisarze Bohdan Czeszko, Wojciech

Zukrowski, Władysław Mahejek, Wilhelm Szewczyk, artyści-malarze Kazimierz Sramkiewicz, Roman Usarewicz, Andrzej Strumillo, reżyser Czesław Petelski, publicyści Wiesław Górnicki i Edgar Milewski. Zabierało głos wielu mówców, nie sposób wszystkich wymienić. Budowniczowie portu mówili o swojej pracy i życzeniach pod adresem twórców.

Podczas spotkania zabrał głos również członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, tow. Jan Szydłak, podkreślając fakt niejako podwójnej symboliki Portu Północnego, jako symbolu naszej ekspansji gospodarczej, jak poprzez bliskie sąsiedztwo z Westerplatte, gdzie broniono skrawka polskiej ziemi, jak teraz morzu odbiera się ziemię dla powstania portu. Mówiąc o polityce kulturalnej stwierdził, że utwory bezkonfliktowe, jakie tworzone w latach pięćdziesiątych, były nieskuteczne, a więc bezwartościowe, gdyż życie pełne jest konfliktów. Mamy jako społeczeństwo wady i zalety i sami musimy likwidować wady i upowszechniać zalety, by przyspieszyć marsz do nowoczesności. Ludzie sztuki — stwierdził sekretarz KC — mogą podnieść cenę ludzkiego wysiłku. A twórczość może się wszechstronnie rozwijać, kiedy będzie jej towarzyszyć sympatia i poparcie głównej siły naszego społeczeństwa, klasy robotniczej. Sojusz pracy i sztuki — to warunek rozwoju polskiej kultury i całego społeczeństwa.

Wnioski jakie można wyciągnąć z gdańskiego spotkania, są oczywiste. „Drugą Polskę” można zbudować w pełnym sojuszu wszystkich. W tej metaforze kryje się również ważna myśl: stworzenie dla tej Polski człowieka na miarę czasów, w jakim mu przyjdzie żyć.

JERZY WAWRZAK

WSPÓLNE PLENUM KW PZPR I WK ZSL poświęcono ustaleniu kierunków rozwoju hodowli w województwie łódzkim. We wspólnym referacie, jak i w dyskusji stwierdzono, że dążenie do maksymalnego rozwoju hodowli nie może mieć charakteru akcji, powinien to być stały kierunek w działaniu wsi. Obradami wspólnego posiedzenia obu komitetów kierowali: I sekretarz KW PZPR — J. Muszyński i prezes WK ZSL — J. Szymanek.

Następnie Komitet Wojewódzki PZPR zapoznał się ze stanem przygotowań do XIII Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej.

DOM EKONOMISTY w Łodzi otwarto. Z tej okazji odbyło się w Łodzi spotkanie ekonomistów, w którym uczestniczyli też członkowie Prezydium Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego z prezesem — prof. dr. hab. J. Pajustką.

W czasie spotkania sekretarz KL PZPR — K. Łukaszewski omówił zadania ekonomistów w procesie dynamizowania rozwoju gospodarczego Łodzi.

WSPÓŁPRACA: ONZ — INSTYTUT MEDYCYN PRACY W ŁODZI. Od 1 stycznia 1973 roku na przeciąg 40 miesięcy obowiązuje współpraca Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi z ONZ. Celem tej współpracy jest ochrona zdrowia ludzi pracujących w przemyśle chemicznym.

Zlecenie przez ONZ badań nad ochroną zdrowia ludzi pracujących w przemyśle chemicznym jest nie tylko dowodem uznania dla łódzkiej nauki, ale i naszym osiągnięciem w ochronie środowiska człowieka. Pomoc ONZ pozwoli znacznie rozwinąć badania naukowe, lepiej wyposaży Instytut, da pracującym tam naukowcom możliwość wymiany doświadczeń z innymi tego typu ośrodkami nauki na świecie, a w sumie przyczyni się do rozwiązania wielu trudnych problemów z

dziedziny ochrony zdrowia współczesnego człowieka.

W 1910 ROKU Spółka Müller i Seidel otworzyła fabrykę przy ul. Żeromskiego 96 w Łodzi. Tak zaczęła się historia „MAJEDU”. Była to wówczas fabryka maszyn tkackich. Dziś jest to zakład produkujący maszyny dla przemysłu lekkiego i przemysłu włókienniczych.

Ale łódzki „Majed” ma już potomka. Od roku działa w Rawie Mazowieckiej filia „Majedu” — Zakład Aparatów Rozciągających.

WODA BLIŻEJ ŁODZI. Efektywne to sformułowanie coraz częściej pojawia się na łamach gazet, jako że budowa wodociągu Sulejów — Łódź dobiega już końca. Konczy się wprawdzie budowa pierwszego etapu, ale i tak jest wiele powodów do radości.

Nim jednak woda rzeczywiście dotrze do Łodzi, specjalnie powołane komisje dokładnie zbadały cały ten wodociąg i wyraża zgodę na jego eksploatację. Badania te — żmudne i dość skomplikowane — potrwały kilka miesięcy.

Dla załóg przedsiębiorstw kończących prace w ramach pierwszego etapu budowy wodociągu Sulejów — Łódź zbliża się finisz oby nikt nie spóźnił się na wyznaczony czas.

27 LAT ORMO. Defilada, akademiami i spotkaniami uczcili ORMOWCY Łodzi i województwa łódzkiego 27 rocznicę powstania Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej.

W województwie łódzkim wśród licznej rzeszy ORMOWCÓW znajduje się 1500 osób, którzy legitymację ORMOWCÓW noszą od 27 lat.

CHCESZ MIESZKANIE NA WŁASNOŚĆ? Proszę bardzo. Możesz je kupić od MZBM. Pod warunkiem jednakże, że jesteś głównym najemcą.

Metr kwadratowy powierzchni kosztuje od 2100 zł do 3000 zł. Za każdy rok eksploatacji mieszkania odlicza się od ogólnej sumy 1,25 proc. wartości. Mieszkania KWATERUNKOWE — bo o nich tu mowa — można nabywać też na raty. Na początku trzeba wpłacić 30 proc. ich wartości. Raty rozkłada się nawet na 25 lat, ale kto spłaci je w krótszym czasie, ten otrzymuje dalszą zniżkę.

Mieszkanie nabyte na własność wyłącza się z miejskiej gospodarki lokalną, a po 5 latach właściciel mieszkania może dysponować nim dowolnie.

W TEATRZE. — 3 marca br. w Teatrze Wielkim premiera „Zaczarowanego fletu” Wolfganga Mozarta. Reżyseruje Kazimierz Dejmek. Opracowanie muzyczne — Bogusław Madey, scenografia — Andrzej Majewski.

Jak donosi „Głos Robotniczy” Teatr Powszechny przygotowuje sztukę rumuńskiego autora Ion D. Sirbu. Tytuł sztuki: „Arka dobrej nadziei”. Reżyserować będzie rumuński reżyser — Goergetta Tomescu.

CZY W KUTNIE BĘDZIE TEATR? Z takim pytaniem „Wiadomości Kutnowskie” zwróciły się do dyrektora Teatru Ziemi Łódzkiej — Jana Perza.

O to odpowiedź, jaką Jan Perz udzielił „Wiadomościom Kutnowskim”: — Uważam, że w Kutnie powinna być zorganizowana DRUGA SCENA NASZEGO TEATRU (podkreślenie „WK”). Bardzo bym był zadowolony — a myślę, że i cały nasz zespół aktorski — gdybyśmy mogli taką scenę w Kutnie uruchomić.

Zycie byłoby jednak bardzo proste, gdyby nie pewne „ale”.

Co wobec tego należy zrobić — pyta „WK” — aby taka scena, czy może nazwijmy to filia TZL — w Kutnie powstała?

Niestety — odpowiada J. Perz —

potrzeba trochę wysiłku ze strony działaczy kulturalnych w Kutnie.

A na to „WK”: — Bo o ile wiemy, jak do tej pory żadne z władz kulturalnych i odpowiedzialnych za rozwój kultury w naszym mieście czynników o stałej scenie teatralnej w Kutnie nie pomyślały...

J. PERZ: — Istotnie, jak do tej pory nie mieliśmy żadnej sugestii w tej sprawie ze strony władz kulturalnych Kutna. A szkoda!

Można byłoby na tym skończyć prezentację fragmentów rozmowy z „Wiadomości Kutnowskich”. Ale chciałbym jeszcze uzupełnić je refleksją. Czy tylko muszą się liczyć sugestie czynników odpowiedzialnych, działaczy kulturalnych itp.? A było kiedyś inaczej, „inicjatywę oddolną”? I jeszcze jedno — czy dziennikarz „WK” i dyrektor Jan Perz nie są też działaczami kulturalnymi? Węć sugestia już padła. Teraz tylko do dzieła panowie. Sali i to dobra w Kutnie jest. Inicjatywa — jest. Więc?

SAMI NIE WIEMY, CO POSIADAMY. Przysłowie to potwierdziło się w przypadku Spółdzielni Usług Wielobranżowych w Wieluniu. Spółdzielnia ta zyskuje atrakcyjne ubiory dla warszawskiego „Centrum” i dla pana Pierre’a Alby w Paryżu. Spółdzielnia „umundurowała” też „Czerwone gitary”, a w kolekcje do „umundurowania” czeka zespół z Wybrzeża — „Białe Krutki”.

A z Łodzi do Wielunia tak blisko. I co Wy na to Panowie Handlowcy?

NOWOŚĆ. Niekróć czytam w gazetach wiadomość następującej treści: „Od 1 marca br. Spółdzielnia „Czystość” wprowadzi na terenie całej Łodzi nową formę usług polegającą na zabieraniu z domu klienta garderoby, bielizny i dywanów do prania z odwożeniem po wykonaniu usługi”.



tylkoć zastanawiam się, kto u nas chodzi do kina. Gdyby bowiem kierownictwo Spółdzielni „Czystość” uważało, że nie należy się ograniczać, gdyby przyzwołało się zagranicznym sztukom, to by doszło do wniosku, że odbieranie bielizny do prania i przywożenie jej po upraniu nie jest nowością. Jest to forma praktykowana od lat.

I oż z tego, że my wprowadzamy ją dopiero teraz? Wiem, że nie mieliśmy na to wcześniej warunków, że wielu z nas miało trudne „dzieciństwo”, że odrabiamy zaległości, że... To wszystko nie zwalnia od myślenia. I od tego, żeby beztępotnie wszystko nazywać nowością.

MOTORYZACJA. Jesteśmy na przedwiośnie motoryzacji. Inaczej nie mogłaby się ukazać w wojewódzkim wydaniu „Dziennika Łódzkiego” wiadomość, że Tomaszów Mazowiecki będzie miał w centrum... parking strzeżony. Jak na razie jest to „sensacja”. Już za kilka lat ten sam „DL” o braku takiego parkingu będzie pisał jak o skandalu.

M. RODAK



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.



(Dalszy ciąg ze str. 1)

Podpisanie w maju ub. r. w Moskwie, przez sekretarza generalnego KPZR — L. Breżniewa i prezydenta USA — R. Nixona „układu o ograniczeniu systemów obrony przeciwrakietowej — ABM” (Anti-Ballistic Missile system — system obrony przeciwrakietowej) oraz „tymczasowego porozumienia o niektórych środkach w zakresie ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych”, jak również zakończenie pierwszego etapu drugiej tury rokowań SALT, daje asumpt do rozważań na temat obecnego stanu rozwoju zbrojeń strategicznych i jego kierunków.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza można zaobserwować niepokojące zjawisko poważnej intensyfikacji w produkcji i rozwoju nowoczesnych broni oraz ich systemów. Dokonujący się w dziedzinie zbrojeń olbrzymi postęp technologiczny powoduje, że do uzbrojenia wielkich mocarstw wprowadzane są coraz doskonalsze systemy broni wyposażonych w ładunki jądrowe o ogromnej sile niszczenia. Można tu wymienić: międzykontynentalne rakiety balistyczne, wyrzelniane z wyrzutni naziemnych i spod wody, rakiety średniego i bliskiego zasięgu, samoloty-nosiciele bomb nuklearnych itp. Środki te użyte nawet w niewielkiej ilości mogą całkowicie unicestwić życie biologiczne na Ziemi. Stwierdzenie to nie jest bynajmniej przesadzone, bowiem potencjał broni atomowych, nagromadzonych w istniejących obecnie na świecie arsenalach, szacuje się na ponad 100 tys. megaton TNT, czyli, jak łatwo obliczyć, na jednego mieszkańca kuli ziemskiej przypada około 20 ton TNT. Aby liczba ta była jeszcze bardziej wymowna, wystarczy dodać, że ładunek ten, jest w stanie zniszczyć jakiekolwiek życie na naszej planecie ok. 50.000 razy.

Niekontrolowany rozwój wyścigu zbrojeń pociąga za sobą dwie istotne konsekwencje.

Jedną z nich jest fakt, że budżety wojskowe wielkich mocarstw pochłaniają znaczną część ich dochodu narodowego. Na przykład w USA, w roku ubiegłym wydatki na cele wojskowe wyniosły ok. 79,1 mld dolarów, co stanowi około 40 proc. ogółu wydatków i 8,6 proc. dochodu narodowego brutto. Wiąże się to bezpośrednio z rosnącym stale postępem naukowo-technicznym w rozwoju coraz nowocześniejszych broni, który im szybciej wzrasta, tym wymaga większych nakładów finansowych. Doskonałą ilustracją tego zjawiska można było zaobserwować właśnie w USA, gdzie na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia (1961—1971) ceny przemysłowe wzrosły o 22 proc., a koszty większości rodzajów broni i ich systemów o 300 proc. Wymowny jest również fakt, że podczas, gdy w r. 1949 na zbrojenia wydano na świecie ok. 51 mld dolarów, to już 20 lat później, w 1969 r. suma ta wyniosła ok. 180 mld dolarów.

Inną konsekwencją wyścigu zbrojeń w dziedzinie broni strategicznych jest nagromadzenie przez oba supermocarstwa tak ogromnego potencjału nuklearnego, że doprowadziło to do sytuacji, w której żadna ze stron, w wypadku wojny atomowej, nie ma jakiegokolwiek gwarancji, że nie zostanie całkowicie zniszczona, bez względu na to, czy zaatakuje pierwsza czy podjęmie „odwet jądrowy” na pierwsze uderzenie strony przeciwnej.

W tym świetle szczególnego znaczenia nabierają wszystkie zawarte dotychczas porozumienia, zmierzające do zahamowania tempa wyścigu zbrojeń oraz ograniczenia jego zasięgu, a zwłaszcza układy: „o zakazie prób nuklearnych w atmosferze, przestrzeni kosmicznej i pod wodą”, „o pokojowym wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej”, „o nieprolifracji broni nuklearnej”, „o denuklearyzacji dna mórz i oceanów” oraz układy SALT, podpisane w Moskwie w maju ubiegłego roku. Pierwszy z nich, tj. układ „o ograniczeniu systemów obrony przeciwrakietowej” jest porozumieniem o charakterze trwałym, zakłada ograniczenie liczby wyrzutni i pocisków przechwytyjących do 200 sztuk dla każdego z państw oraz po 15 wyrzutni dla celów doświadczalnych.

Z kolei drugi, tj. „tymczasowe porozumienie o niektórych środkach w zakresie ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych”, jest układem zawartym jedynie na okres 5 lat i ma na celu „zamrożenie” na obecnie istniejącym poziomie liczby międzykontynentalnych pocisków balistycznych, wyrzelnianych z wyrzutni naziemnych — ICBM (Intercontinental Ballistic Missiles — międzykontynentalne rakiety balistyczne) oraz z wyrzutni zainstalowanych na atomowych okrętach podwodnych — SLBM (Submarine-Launched Ballistic Missiles — rakiety dalekiego zasięgu wyrzelniane z okrętów podwodnych). Jednocześnie zapowiedziano powołanie Stałej Komisji Konsultacyjnej, czuwającej nad realizacją postanowień układów oraz uzgodniono problem kontroli, która „powinna być zgodna z zasadami prawa międzynarodowego”.

CO TO SĄ ZBROJENIA STRATEGICZNE

Doniosłość i przełomowe znaczenie tych porozumień polega w szczególności na tym, że stanowią one pierwszy wielki krok na drodze do rzeczywistego powstrzymania, a w konsekwencji zaprzestania wyścigu zbrojeń strategicznych, bowiem nakładają bezpośrednie ograniczenia na przyczyny go wywołujące. Jednocześnie zahamują one w pewnym stopniu wzrost wydatków na realizację coraz doskonalszych i kosztowniejszych systemów broni strategicznych, jak bowiem niedawno obliczono, gdyby nie zostały zawarte porozumienia SALT, to Stany Zjednoczone i Związek Radziecki do 1989 roku wydałyby łącznie na zbrojenia około 5 bilionów dolarów (5.000 mld dolarów).

Przed rozpoczęciem 21 listopada ub.r. drugą turą negocjacji w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych, stoją więc zarówno nowe, poważne problemy jak i stare, nie rozwiązane w ramach SALT I. Zasadą tych rokowań jest niepublikowanie porządku obrad, ani tym bardziej, mówienie o postępach w nich osiągniętych. Niemniej doświadczenia poprzedniej tury negocjacji (jak i ogólnikowe sformułowania komunikatu opublikowanego na zakończenie pierwszej rundy SALT II) pozwalają snuć pewne przypuszczenia odnośnie tematyki prowadzonych rozmów. W opinii niektórych kręgów ekspertów wśród problemów, które powinny się prawdopodobnie znaleźć na stole obrad obecnej tury rokowań, będą między innymi:

- ▲ problem nałożenia ograniczeń zarówno ilościowych jak i jakościowych na rozwój systemów MIRV, bowiem tymczasowe porozumienie o „zamrożeniu” ICBM i SLBM dotyczy jedynie ilości rakiet, a nie mówi nic o ilości i jakości głowic, w które mogą być one uzbrojone;
- ▲ ilościowe redukcje głównych rodzajów broni strategicznych, takich jak: międzykontynentalne pociski balistyczne, pociski dalekiego zasięgu, wyrzelniane z okrętów podwodnych, systemy obrony przeciwrakietowej (ABM) oraz bombowce strategiczne;
- ▲ problem ustalenia terminologii w zakresie zagadnień odnoszących się do zbrojeń strategicznych, takich jak: co to jest strategiczna broń ofensywna?; co to jest bombowiec strategiczny?; itp.
- ▲ problem tzw. „wysuniętych systemów” — FBS (Forward Based System — systemy tzw. „wysunięte”). Sprowadza się on do tego, że za broń strategiczną można uznać taką broń nuklearną, która może zagrozić terytorium bądź to USA, bądź — ZSRR;
- ▲ powszechne porozumienie co do całkowitego zakazu przeprowadzania prób z bronią nuklearną i in.

Z innych problemów, raczej już natury technicznej, wyłania się kwestia realizacji postanowień układów, dotyczących powołania Stałej Komisji Doradczej i ustalenia zakresu jej kompetencji oraz kwestia uregulowania kontroli nad przestrzeganiem zawieranych porozumień. Memorandum podpisane w Genewie 21 grudnia 1972 r. przez przedstawicieli ZSRR i USA z okazji zakończenia pierwszej fazy SALT II dotyczy właśnie wymienionych wyżej zagadnień, a zwłaszcza problemu utworzenia 4-osobowej mieszanej komisji doradczej, która zajmie się wprowadzeniem w życie porozumień SALT I, osiągniętych w Moskwie.

Na rezultaty SALT II przyjdzie nam jeszcze poczekać, może nawet kilka lat, wielka bowiem jest zarówno stawka rokowań jak i odpowiedzialność spoczywająca na obu stronach, toteż zbyt niemożliwe jest w nich wskazany. W Genewie obie strony wznowią swój dialog, a w międzyczasie eksperci będą przygotowywać płaszczyznę dalszych rokowań. Jedno wydaje się być pewne już dziś, że zapoczątkowany przed trzema laty proces, mający doprowadzić do całkowitego zaprzestania wyścigu zbrojeń i ich redukcji jest nieodwracalny, a jego kontynuacja może na zawsze usunąć groźbę nuklearnej zagłady świata, przyczyniając się tym samym do umocnienia pokoju i bezpieczeństwa między narodami.

ANDRZEJ BLAJER

Bieżący tydzień rozpoczął się od międzynarodowej konferencji na temat Wietnamu z udziałem 12 państw, mających gwarantować pokój w tym kraju. Biorą w niej udział uczestnicy paryskich rozmów pokojowych: DRW, Tymczasowy Rząd Rewolucyjny RWP, USA i administracja sągajńska, państwa, stanowiące Międzynarodową Komisję Kontroli i Nadzoru: Polska, Węgry, Kanada i Indonezja oraz cztery wielkie mocarstwa: ZSRR, W. Brytania, Francja i ChRL. Do Paryża przyjechał także z liczną ekipą ekspertów sekretarz generalny ONZ — Kurt Waldheim. Delegacjom przewodniczą ministrowie Spraw Zagranicznych — polskiej min. S. Olszowski, jak podkreśla prasa zagraniczna, najmłodszy w tym gronie.

Celem paryskiej konferencji jest zatwierdzenie już zawartych układów i stworzenie systemu gwarancji utrzymania pokoju. To w sposób zasadniczy różni ją od genuewskiej konferencji w 1954 roku, na której dopiero negocjowano warunki pokoju i która po 73 dniach obrad położyła kres pierwszej wojnie indochińskiej. Z tej odmienności wyprowadza się wniosek co do czasu trwania konferencji w Paryżu. Zdaniem wielu obserwatorów — potrwa ona od 7 do 10 dni.

W konferencji nie biorą udziału przedstawiciele Laosu i Kambodży, gdyż dotyczy ona wyłącznie Wietnamu, podczas gdy konferencja genuewska omawiała całokształt problemów indochińskich.

Obrady paryskie rozpoczęły się w atmosferze ograniczonego postępu w procesie przywracania pokoju w Wietnamie, który z jednej strony znamionuje np. wymiana jeńców, z drugiej zaś — trwające incydenty zbrojne (przedstawicielka Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego mówiła na spotkaniu z przedstawicielami 30 niez zaangażowanych krajów, o już czterech tysiącach wypadków naruszenia przez administrację sągajńską postanowień układu).

Tymczasem w innym kraju Indochin — Laosie — weszło w życie — niestety, także naruszane — porozumienie o wstrzymaniu ognia. Porozumienie to zakłada utworzenie w ciągu 30 dni tymczasowego rządu koalicyjnego oraz koalicji politycznej, która zorganizuje wybory, wycofanie wojsk obcych oraz wymianę jeńców w czasie nieprzekraczającym 60 dni od momentu powołania rządu. A więc i tutaj, po 20-letnim konflikcie, stworzone zostały podstawy do zbudowania trwałego pokoju, zasadzającego się obecnie na parcie mandatów w rządzie Pathet Lao i administracji wientiańskiej.

W trzecim kraju indochińskim — Kambodży do pokoju jeszcze daleko. Niemal na całym terytorium trwają zacięte walki i nie zanosi się na dwustronne rokowania, w których można by zarysować kształt pokoju. Być może, że pomyślny rozwój procesów pokojowych w Wietnamie i Laosie nakłoni obie strony do nawiązania kontaktu.

Z Indochin przeniesmy się teraz na Bliski Wschód. Ostatnio, niewygaszony konflikt arabsko-izraelski, dał o sobie znać ustraszającą zbrodnią. Izrael zestrzelił pasażerski samolot libijski, w rezultacie czego poniosło śmierć prawie 100 osób. „Samolot — pisał np. „Washington Post” — leciał nie do Izraela czy nad Izraelem, lecz nad okupowaną przez Izrael pustynią Synaj i wycofywał się z tego kursu”. Niczym nie są więc uzasadnione twierdzenia, że „zachowywał się podejrzanie”. Ataku dokonano z premedytacją, a jego następstwem będzie z pewnością dalsze skomplikowanie i tak złożonej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Nastąpiło to w momencie, gdy w Waszyngtonie przebywał specjalny wysłannik prezydenta Sadata, konferujący na temat możliwości przyspieszenia pokojowego rozwiązania konfliktu. Czy między tymi faktami naprawdę nie ma zależności? — zastanawiają się niektórzy komentatorzy. Dlaczego Dajan tak uparcie na konferencji prasowej powtarzał, że zestrzelenie samolotu libijskiego jest „incydentem czysto wojskowym”, i — nie ma „żadnego znaczenia politycznego”? Czy Izraelowi nie chodziło właśnie o akt polityczny?

Cały świat z oburzeniem przyjął wiadomość o nowym akcie terroru ze strony Izraela, domagając się nie tylko ukarania sprawcy śmierci 100 pasażerów, ale i zmuszenia go do wykonania rezolucji Rady Bezpieczeństwa, co otworzyłoby na Bliskim Wschodzie perspektywę pokoju.

A teraz nieco o Europie...

W najbliższą niedzielę ODBĘDĄ SIĘ WE FRANCJI WYBORY POWSZECHNE, budzące zainteresowanie europejskiej opinii publicznej.

Sondaże wykazują duży wzrost sił zjednoczonej lewicy. Z tego faktu zdają sobie sprawę i prezydent Pompidou i premier Messmer. Ten ostatni z dużą pewnością atakuje wspólny program lewicy, ostrzegając przed poparciem go przez wyborców. Wybory we Francji odbywają się w dwóch turach, przy czym w pierwszej obowiązuje zasada bezwzględnej większości głosów, w drugiej względnej. Ostateczny wynik będziemy więc znać dopiero po 11 marca.

Dziś trudno o trafną prognozę. Z jednej bowiem strony obserwuje się powiększające się poparcie dla lewicy, z drugiej jednak system wyborczy we Francji — taka geografia okręgów, która rozważnia klientelę lewicy — stanowi barierę trudną do przebycia. Mimo to fakt, że nawet na kilka dni przed wyborami nie można przewidzieć ich wyniku, jest w życiu Francji politycznym nowum.

Ostatniego dnia lutego SPOTKAĆ SIĘ MAJĄ W BONN GŁÓWNI NEGOCJATORZY OBU PAŃSTW NIEMIECKICH: Kohl i Bahr.

Ministrowie mają przedyskutować problemy, związane z ratyfikacją przez oba parlamenty układu podstawowego NRD — NRF oraz przystąpieniem obu państw niemieckich do ONZ. Wśród innych spraw, które mogą stanowić przedmiot zainteresowania ministrów, wymienia się: komunikację lotniczą, pracę komisji granicznych oraz akredytację zachodniemieckich dziennikarzy w NRD.

Trwający KRYZYS WALUTOWY NA ZACHODZIE doprowadził w minionym tygodniu do ogromnego wzrostu cen złota.

W Londynie za uncję płacono już 80 dolarów, panicznie pozbawiając się waluty USA. Ta ucieczka od dolara — piszą komentatorzy zachodni — jest w Europie „przekroczeniem bariery psychologicznej”, z wszystkim tego politycznymi następstwami.

W. ŚLAWSKI



VENUS

Z prawdziwą satysfakcją czytaliśmy, z nerwem i wielką pasją publicysty napisany przez red. Andrzeja GRUNA, obchodzący nas tak bardzo artykuł, dotyczący naszych wystaw „Venus”.

Sprawa tematu tych wystaw i ich roli, sprawa uwypuklenia prawa do wystaw artystycznych, do organizowania ekspozycji dzieł sztuki o temacie budzącym pierwszą i zawsze wielką inspiracją twórców, — tak jasno jeszcze przez nikogo nie została podkreślona. To naprawdę „strzał w dziesiątkę”!

Z tego, tak celnego artykułu pragniemy oczywiście zrobić

niesco później przedrukul kserograficznie dla umożliwienia udostępnienia go jak najszerszym kręgom naszych bliskich i dalszych kolegów, przyjaciół, a może i antagonistów. Pragniemy go udostępnić wielu czytelnikom z różnych rejonów naszego działania, gdyż stał się on dla nas wielką, cenną nagrodą za upór i ciężkie chwile walki o uratowanie wystaw „Venus”, wiszących w 1972 r. niemal na włosku, na którym nad naszymi głowami wisiał w odnowionym, choć może nieczytelnym, nowoczesnym wydaniu „Miecz Damoklesa”.

Artykuł red. Andrzeja GRUNA wzbudził w naszym środowisku powszechny aplauz, któremu nie przeszkadza (dość słuszną niestety) ocena plakatowo-stołowej reklamy obecnej ekspozycji.

Postawienie sprawy sensu i oddziaływania wystaw „Venus” w świetle tak dojrzałej i wszechstronnej oceny i umieszczenie problemu w jego prawidłowych wymiarach, dokonało się po raz pierwszy (czemu się nie dziwimy) w realnie czującej tętno dzisiejszego życia robotniczej i równocześnie artystycznej Łodzi, zdrowo i bez obłonek krytykującej zacofanie i głupotę!

Prosimy więc nie dziwić się, Panie Redaktorze, że jedyną posiadaną przez nas 3 numery „ODGŁOSÓW” są wprost rozrywane (niestety w naszych kio-

skach Ruehu — „Odgłosów” nie można dostać) i są „kropią w morzu” wobec zapotrzebowania wśród członków i sympatyków KTF.

Za Zarząd:
Mgr WŁADYSŁAW KLIMCZAK
(KRAKÓW)

„FELIETON W PRZYBRANIU ANEGDOTYCZNYM”

W numerze 2 „Nowych Książek”, a następnie w „Odgłosach” ukazała się ta sama recenzja Feliksa Fornalczyka z mojej książki „Rzeczy dziwne i ciekawe”. Nie wdając się w analizę oceny tej książki, do jakiej recenzent ma prawo, pragnę sprostować nieścisłości, wynikające — jak sądzę — ze zbyt pobieżnej lektury.

Pisze Fornalczyk o „łódzkim dziennikarzu Władysławie Zambrzyckim”. Owszem — wspominał tę postać kilkakrotnie w mojej książce, ale, jako żywo, nie zmieniał mu karty miedundkowej. Recenzent tej klasy, co Fornalczyk, zna zapewne (być może jednak także pobieżnie) słownik Bartelskiego „Połscy pisarze współcześni”. Przez przeoczenie więc tylko nie zauważył tam na stronie 348 hasła „Zambrzycki Władysław”. Był to pisarz rdzennie warszawski — autor głoszących i wielokrotnie wznawianych powieści:

„Nasza Pani Radosna”, „Kwate-ra bożych pomyśleń”, „Mgły nad Skaldą” i wreszcie „Pamiętnika Filipka” — książki, która mu przyniosła Nagrodę Literacką m. Warszawy w roku 1957. Zambrzycki był bardzo popularną postacią warszawską — Jego sylwetka znalazła się także w „Baedekerze warszawskim” Olgierda Budrewicza. W swoim czasie, na łamach „Kultury”, L. B. Grzeniewski postulował zebranie i opublikowanie drabizgów bibliofilskich, drukowanych przez Zambrzyckiego w warszawskim „Expressie Wieczornym”. Z Łodzią Władysław Zambrzycki nie miał nic wspólnego. Nie wyklucone, że recenzent pomylił go z „Przeclawem Smolikiem, o którym w „Rzeczach dziwnych...” pisał również.

Druga sprawa to moje rzekome pisarstwo „wyznanie wiary”. Jeśli oczywiście można go szukać w zbiorze felietonów, to czytelnik, który książkę zyczytanie przeczyta, odnajdzie je przede wszystkim w felietonie zamykającym książkę i noszącym tytuł „Pisarze i wierność”. Natomiast wyrwane z kontekstu zdanie z felietonu nt. sprawy sądowej o zniesławienie, tyle ma akurat wspólnego z pisarskim „credo”, co Zambrzycki z Łodzią.

JERZY WILMAŃSKI

Z EWĄ BRAUN w berlińskiej rezydencji

Hitler wiele uwagi poświęcił kwestii zapewnienia Rzeszy godnych następców. Ley, któremu Hitler zlecił opracowanie całościowego systemu kształcenia młodzieży, przedstawił wstępny zarys projektu. Specjalne szkoły dla dzieci, szkoły imienia Adolfa Hitlera i t.zw. Ordensburgi, kształcące na wyższym poziomie, miały przygotować elitę, posiadającą wykształcenie techniczne i ideologiczne. Wydaje się jednak, że ta selekcja mogłaby wykształcić jedynie biurokratów, nadających się tylko do zajmowania stanowisk w administracji partyjnej. Charakterystyczne, że dygnitarze nie wysyłali swoich dzieci do tych szkół. Nie zrobił tego nawet taki fanatyczny bojownik nazistowski, jak gauleiter Sauckel. Warto też zwrócić uwagę, że Bormann posłał do takiej szkoły jednego ze swych synów... za karę.

Hitler był pozbawiony zupełnie poczucia humoru. Pozwalał na żarty, śmiejąc się głośno i niekiedy ocierając łzy ze śmiechu. Lubiał się śmiać, ale zawsze z innych.

Goebbels najlepiej umiał rozbawić Hitlera anegdotami, równocześnie dyskredytując tych, którzy w walce o władzę w partii byli jego osobistymi wrogami. W czasie obiadów Hitler często opowiadał o swej młodości, kładąc szczególny nacisk na korzyści, jakie wyniósł z surowego traktowania go w domu. „Mój ojciec — mówił często — był mnie mocno. Ale myślę, że to było potrzebne i że to mi się przydało później”. Wilhelm Frick — minister spraw wewnętrznych — przerwał mu kiedyś swym drżącym głosem: „widać z tego, mój Führerze, że przyniosło to dużą korzyść”. Obecni zneruchomili ze strachu. Frick usiłował ratować sytuację: „Chciałem powiedzieć, mój Führerze, że to właśnie dzięki temu odnosi pan takie sukcesy”. Goebbels, który uważał Fricka za skończonego krety, zauważył zgryźliwie:

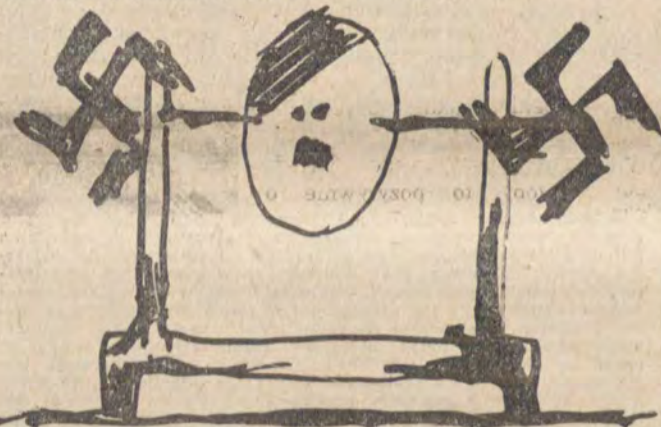
„Myślę, mój drogi Frick, że pana nie bito za młodu”.

Obiady u Hitlera zawsze były stratą czasu, gdyż siedział się przy stole aż do pół do piętej. Bywałem na nich tylko raz lub dwa razy na tydzień, ponieważ nie miałem czasu. Było jednak rzeczą ważną bywać u Hitlera, gdyż umacniało to osobistą pozycję, a ponadto było i pożyteczne ze względu na poznanie poglądów Hitlera na aktualne sprawy. Dla Hitlera wspólne obiady były nader użyteczne, gdyż mógł na nich bezpośrednio przekazywać dyskretnie hasła, czy dyrektywy polityczne. Sam jednak na ogół unikał mówienia o swych własnych inicjatywach.

Na kolacji spotykało się 6 do 8 osób: adiutanci, lekarz osobisty Hitlera, jego fotograf Hoffmann, jakiś znajomy z Monachium, często pilot Hitlera — Bauer, jego radiooperator i mechanik, a także nieodzowny Bormann. Był to najbardziej zamknięty krąg w Berlinie. Wieczorem współpracownicy Hitlera, tacy jak np. Goebbels, byli najczęściej niepożądani. Poziom rozmowy był jeszcze niższy, niż przy obiedzie. Mówiono o rzeczach bez znaczenia. Hitler lubił, gdy mu mówiono o przedstawieniach teatralnych, ale plotki teatralne również go interesowały. Pilot mówił o swych lotach, Hoffman powtarzał plotki monachijskie lub mówił o kupowanych przez siebie obrazach, a Hitler mówił najczęściej o swym życiu i swej karierze. Jedzenie było skromne. Niekiedy intendent rezydencji Hitlera, Kannenberg, usiłował nam podawać smaczniejsze dania. Przez kilka tygodni Hitler z apetytem jadł lżykami kawior, który mu bardzo smakował. Gdy jednak dowiedział się od Kannenberga o jego cenie, był przerażony i zakazał podawania kawioru. Oczywiście cena kawioru, w porównaniu z innymi wydatkami, była niczym. Dla Hitlera jednak obraz Führera jedzącego kawior był nie do przyjęcia. Po kolacji wszy-

scy udawali się do salonu, gdzie zasiadano w wygodnych fotelach. Hitler rozpiął marynarkę i wyciągał nogi. Zaczynał się film. Siedzieliśmy trzy czy cztery godziny w milczeniu, a gdy około pierwszej w nocy filmy się kończyły, wstawaliśmy zmęczeni i oszołomieni. Jedynie Hitler był pełen siły; rozwałkował się długo nad grą aktorów, zachwycając się talentem tego lub innego. Rozmowy kontynuowano w sąsiednim salonie, o drugiej nad ranem Hitler szedł spać. Często nie mogłem się oprzeć myśli, że to mierne towarzystwo zbierało się tam, gdzie Bismarck zwykł spotykać się ze swymi znajomymi, przyjaciółmi i współpracownikami. Niekiedy proponowałem Hitlerowi zaproszenie jakiejś sławy pianisty lub uczonego, aby urozmaicił nieco monotonię tych wieczorów.

Ku memu zdumieniu odrzucał te propozycje mówiąc, że artyści nie mieliby ochoty tu przyjść. W rzeczywistości wielu z nich uważało by takie zaproszenie za wyróżnienie. Zauwa-



żyłem, że Hitler odczuwał niechęć do stykania się z ludźmi, którzy w czymś go przewyższali. Przyjmował ich niekiedy, ale tylko w lodowatej atmosferze oficjalnej audiencji.

Dopiero około 1939 roku Hitler umieścił w swej berlińskiej rezydencji Ewę Braun i przydzielił jej po-

kój przyległy do swego, z oknami wychodzącymi na podwórze. Tu, jeszcze bardziej niż w Obersalzbergu, była całkowicie izolowana, wychodząc i wchodząc przez tylne schody. Nigdy nie schodziła do apartamentów na parterze. Była zawsze szczęśliwa, gdy dostrzymywał jej towarzystwa. Hitler niewiele uwagi przywiązywał do jej obecności. Nie krepując się wypowiadał w jej obecności swój pogląd na kobiety: „Mężczyźni bardzo inteligentni powinni sobie wybierać kobiety prymitywne i głupie. Czy może sobie wyobrazić, żeby kobieta wtrącała się do moich spraw? W czasie odpoczynku chcę mieć spokój... W każdym razie nigdy nie będę mógł się ożenić. A jakież byłoby kłopoty, gdybym miał dzieci! W końcu zrobiłby mego syna moim następcą. Człowiek taki jak ja, na pewno nie będzie miał zdolnego syna. Weźcie przykład z syna Goethego. Wiele kobiet mnie uwielbia, bo nie jestem żonaty. Celibat był zawsze zasadniczą sprawą w okresie walki. To samo jest z aktorami filmowymi, gdy się żenią — tracą swój urok w oczach kobiet.”

* * *

W Berlinie Hitler bardzo rzadko chodził do teatru, chyba że na operetki. Nigdy nie opuszczał żadnej klasycznej operetki, takiej jak „Zemsta nietoperza” czy „Wesoła wdówka”. Jestem pewien, że w jego towarzystwie oglądałem w różnych miastach niemieckich przynajmniej pięć czy sześć razy „Zemstę nietoperza”. Rzadko chodził do opery, niemniej uważał się za namiętnego miłośnika sztuki.

Nigdy nie mogłem ustalić, czy, i w jakiej mierze, Hitler interesuje się literaturą. Najczęściej mówił o wydanictwach wojskowych, rocznikach marynarki wojennej i podręcznikach architektury, które studiował w nocy. To były jedyne książki, o których rozmawiał.

Przełożył: JAN KODREBSKI

MARIA KORNAŁOWSKA

Polacy są raczej narodem bohaterów niż kochanków. Zapewne bierze się to z faktu, iż historia nie była dla nas najlaskawsza. W XVIII wieku, kiedy to gdzie indziej kwitł libertynizm i powstały „Niebezpieczne związki”, u nas ledwie „Fircyk w załotach” wywalczył prawo obywatelstwa, a pisarze rozprawiali się z błędami minionych epok w trosce o naprawę teraźniejszości.

Wieszczowie romantyzmu wiodli wprawdzie bujne żywoty pełne romansów, ale w księgach swych stawiali sprawy serca na dalszym planie. Adam Mickiewicz pocieszył Gustawa czyniąc go Konradem, a III część „Dziadów” jest nie tylko dłuższą od IV-tej — opiewającą cierpienia Gustawa-kochanka — lecz posiada w sobie więcej znamion wielkości i głębi.

Bolesław Prus w „Lalece” wykazał dowodnie, że źle załatwione uczucie niszczy może karierę świetnie zapowiadającego się człowieka interesu, a odpowiedzialnością za lekkomyślne marnotrawienie kapitału społecznego obarczył głównie poetów. Nawet Stefan Żeromski, któremu zawdzięczamy jedno z piękniejszych w literaturze polskiej opisy namiętności i scen miłosnych, pisarz o dużej wrażliwości erotycznej, kazał Judymowi zrezygnować z uczucia Joasi, w imię bliżej nieokreślonych, ale bez wątpienia wzniosłych racji. W piśmiennictwie naszym enoty kobiece zawsze przeważały nad słabościami, nie należały się przeto dziwić, że panie, które marzyły o stawie i karierze wielkiej miłośnicy, udawały się za granicę, jak choćby Delfina Potocka lub — rzecznie wykorzystując chwilowy pobyt na naszej ziemi obcych znakomitości, jak pani Walewska.

Nie znalazła w Polsce odzwierciedlenia „miłość szalona” — buntownicza godząca w istniejący ład społeczny. Z drugiej zaś strony wstydliwie ukrywano „drastyczne” utwory Emila Zegadłowicza.

Po drugiej wojnie niewiele się w tej materii zmieniło na lepsze. W okresie socrealizmu przyszydo sercowe stanowły wyznacznik życia osobistego bohatera, które takowy musiał posiadać w chwilach wojny od znojnego wysiłku na budowie lub w fabryce. Później obraz egzystencji nieco się skomplikował, o czym świadczy m. in. choćby „Kamienne tablice” Wojciecha Żukrowskiego. Inna rzecz, że autor chcąc pozwoić bohaterowi kochać się w

miarę potrzeb, zrobił z niego Węgra i na wszelki wypadek wysłał jeszcze do Indii. Nie mogąc tedy liczyć na to, by z rodzimego gruntu wyrósł odpowiednik trylogii Henry Millera lub „Układu” Kazana wypada zgodzić się, że czołowym osiągnięciem myśli o sprawach serca i ciała, nieśmiertelną polską łowę starych pozostaje nadal „Tredowata”. Popularność tego znamienitego dzieła wolała wzrasta i wkrótce zapewne — jak dowodzą znaki na ziemi i niebie — stanie się przedmiotem licznych uczonych, kto wie czy nie doktorskich, dysertacji.

KTT napisał ongiś, iż Polska należy do kregu kultury ziemniaczano-chmielewowej, ta zaś nie sprzyja lekkości ducha, radości życia, zmysłowej wrażliwości na jego urok. Klimat mamy nie-najlepszy. Brak nam lazurowego nieba i Sorrento. Nie postadaliśmy tedy predyspozycji ani warunków dla wykształcenia subtelnej poetyki sztuki miłosnej. Obyczajowość u nas wprawdzie swobodna, ale dość siemielna. Trudności w pokonywaniu barier międzyludzkich rozkładuje zazwyczaj wódka — lubczył statystycznego Polaka. Tak więc z przyczyn historycznych tudzież przewagi upraw ziemniaczanych nad winoroślą, nie możemy się poszczycić poważnymi zdobyczami w dziedzinie kultury miłosno-erotycznej. Pozostaliśmy daleko w tyle za przodującymi krajami: Francją, Włochami, Szwecją, USA itd.

Film polski, który od 27 lat nie potrafi się wyzwolić z okowów literatury, i dziś żyje już prawie wyłącznie na konto klasyków słowa, nie miał tedy najłatwiejszego zadania podejmując tematykę miłosną. Nie czynił tego — przynajmniej uczciwie — z nadmiernym zapalem, chociaż odkąd kino jako tako nauczyło się opowiadać — miłość stanowi ulubiony temat owych opowieści.

Nie mieliśmy zatem w naszym kinie ani „Spotkania”, ani „Diabła wcielonego”, ani „Rzymskich wakacji”, ani „Kochanków”, ani „Hiroszmy mojej miłości”, ani

tylja

CZYLI

qui pro quo

Jeśli dwoje ludzi mówi to samo — to nie zawsze znaczy to samo. Takie właśnie qui pro quo przydarzyło się Teresie Kuczyńskiej z miesięcznika „Ty i Ja”, oraz piszącemu te słowa. Teresa Kuczyńska i znakomity miesięcznik zaprezentowali czytelnikom młodego plastyka-amatora z Łodzi. Rzecz wydała mi się ciekawa, poszedłem więc tropem „Ty i Ja” — prezentując młodego artystę czytelnikom „Odgłosów”.

I w tym miejscu nastąpiło

nieporozumienie. Rysując uciążliwą drogę życiową młodego amatora, użyłem paru sformułowań, które Teresa Kuczyńska wzięła za uogólnienia, skierowane pod adresem artystów-plastyków.

Pisałem: „Możesz bracie umieć niewiele, ale jeśli masz uprawienia, jeśli masz „papierki”, zawsze masz szansę startu...”. Nie pisałem tego — jak mnie podejrzewa Autorka — szyderczo. Nie był to kamik do ogródka artystów zawodowych, lecz po prostu

refleksja na marginesie tej jednej, konkretnej sprawy. W wypadku Grzegorza Stańczyka właśnie ten brak „papierka” przez dłuższy czas komplikował mu jego drogę. Zapewne zresztą komplikuje nadal.

Nie czyniłem z historii Stańczyka problemu na płaszczyźnie: amatorzy kontra plastycy zawodowi. Byłby to nonsens i takie stawianie sprawy byłoby szkodliwe i dla plastyków i dla amatorów. Moje poglądy w tym względzie są identyczne z poglądami Teresy Kuczyńskiej.

Skąd więc to nieporozumienie?

Pisałem: „W uporządkowanym świecie, gdzie każdy ma swoją szufladę z etykietką, gdzie artysta jest bierzmowany tytułami „magister-plastyk”, „magister-aktor”, sztywne umysły nie potrafiły zrazu zaakceptować technika z łódzkiej fabryki szliferek.” Nie pisałem tego przeciw „magistrom-plastykom” — pisałem przeciwko sztywnym umysłom.

I rzecz ciekawa. Nie zaprotestowało 600 łódzkich plastyków — nie uznali tych słów za atak na swoje pozycje. Nie zaprotestowało co najmniej kilkunastu moich przyjaciół — zawodowych

artystów plastyków. Nie zgłosił sprzeciwu artysta plastyk, który jest członkiem zespołu „Odgłosów”. Bo takiego ataku i takich poglądów w mojej opowieści o młodym amatorze nie było. Nie było — jak to widzi Teresa Kuczyńska — „ustawiania amatorów i „uczonych” plastyków na wrogich pozycjach”. Nawet mi do głowy nie przyszło, że opowieść o perypetiach Grzegorza Stańczyka (nie zmyślonych przecież, lecz autentycznych) — można odczytać w ten sposób.

Teresa Kuczyńska pisze: „Bronię właścicieli tych „sztywnych umysłów”, którzy żądają dyplomu — poza dobrą wolą sprawowania czegoś tam”. A więc tu, można by mniemać, istnieje jądro sporu. Ja piszę przeciwko sztywnym umysłom, Teresa Kuczyńska oświadcza: „Bronię właścicieli tych sztywnych umysłów”.

Trudno mi jednak uwierzyć, aby tak wrażliwa i wytrawna publicystka użyła tego zwrotu w innym celu, jak wyłącznie retorycznym. Przecież wiemy doskonale oboję, że owe „sztywne umysły” charakteryzują się tym, im potrafią z równą obojętnością zamknąć drogę amatorowi „bo nie ma dyplomu”,

jak zamknąć drogę posiadaczowi dyplomu, jeśli jego sztuka nie mieści się w dotychczasowych sprawdzonych kanonach, jeśli odbiega od szablonu...

„Sztwne umysły” stają na drodze autentycznie utalentowanych samorodnych artystów, równie niewzruszenie, jak stoja na drodze sztuki nowej, niepokojącej innością, „nie sprawdzzonej”, choćby ta sztuka legitymowała się dyplomem.

Tak więc i to jądro sporu wydaje mi się pozorne — polega na nieporozumieniu. W ten sposób rozumiany „sztywny umysł” wzbudza z pewnością sprzeciw Teresy Kuczyńskiej tak, jak wzbudza sprzeciw piszącego te słowa. „Ten mur jest do zdołcia” — zatytułowała artykuł w lutym numerze „Ty i Ja” Teresa Kuczyńska, mając na myśli „rzekome trudności ze sforsowaniem muru niechęci wobec amatorów...”. Powatpiam w istnienie muru niechęci akurat wobec amatorów. Owszem, jest mur niechęci wobec ludzi niebanalnych, wylamujących się z szablonu. Takim człowiekiem jest Grzegorz Stańczyk.

Pisałem więc nie „przeciw Akademii”, lecz przeciw określonej, konkretnej sytuacji, nie „przeciw dyplomowi”, lecz za ludźmi, którzy nie mieszczą się w szufladkach. Taki był sens mojej opowieści o Grzegorzu Stańczyku. Pisałem jednak o amatorze plastyku i realia mojej opowieści były z tego kregu. Czy to znaczy, że rzucam klatkę na to właśnie środowisko? Po stokroć nie! Mój artykuł był po prostu jednym w cyklu publikacji o młodych ludziach, szukających swego miejsca w życiu. Opowiadał o możliwościach i trudnościach owej „szansy młodych”.

Jak to napisał Jan Sztaydinger?

„Tak już przez Boga stworzon człek że do dowiecipu trzeba dwóch.”

Zapewne tego, co go rzeki, Lecz także tego, co na słuch.”

Zdarza się jednak, że ktoś „zarzyna” dowiecip. Jeśli tak było w tym wypadku — niech ta glosa do „Świata Grzegorza Stańczyka” usunie wszelkie wątpliwości.

JERZY WILMAŃSKI

LOVE STORY PO POLSKU

„Mojej siostry, mojej miłości”, ani „Letniego snu”, ani „Lecą żurawie” itd. itp. Mieliśmy natomiast — nie da się zaprzeczyć — wzruszający „Przerwany lot” Buczkowskiego, poetyckie „Rozstanie” Hasy, „Do widzenia, do jutra” i „Jowite” Morgensterna, „Kochanków z Marony”, „Zarzyckiego”, „Niekochaną” Nasfetera, „Zakochani są między nami” Rutkiewicza, „Ich dzień powszedni” Scibora-Rylskiego itd. oraz parę filmów skądinąd wybitnych: „Ostatni dzień lata” i „Zaduszki” Konwickiego, „Jak być kochaną” Hasy, Przedmiotem tych filmów było nie tyle kochanie, ile głównie wywołana rozmaitymi przyczynami niemożność kochania, co w jakimś przynajmniej stopniu ułatwiało realizatorom zadanie. Rzecz znamienista, najlepsze z nich traktowały o wojnie i miłości. Można by stąd wyprowadzić wniosek, że filmowcy nasi więcej serca wkładali w ważne, historyczne problemy, niż w przemijające sprawy uczuć.

Kiedy dojrzało nowe pokolenie, wolne już od wojennych upiorów, okazało się, na szczęście, że oszczędzanie pieniędzy na mieszkanie i „Fiata 126p” też bardzo niekorzystnie wpływa na szansę miłości. Dzięki temu powstać mógł najlepszy z nowej serii filmów „pod serduszkami”, a mianowicie „Trzeba zabić tę miłość” Morgensterna.

Pobieżny przegląd powojennej twórczości pozwala skonstatować z czystym sumieniem, że stanowisko filmu polskiego w kwestii uczuć i erotyzmu było raczej negatywne, a w najgorszym przypadku powściągliwe. Nie psuiliśmy publiczności nadmiarem scen miłosnych, sposób ich realizacji natomiast zniechęcał na ogół do wszelkich zdróżności (pomijam prowokującą sekwencję z „Chudego i innych” Klubu). Postacie kochanków szybko zacierają się w pamięci.

Wszystko układało by się jak najlepiej, gdyby nie pa-

nosząca się od pewnego czasu moda na seks i sentymentalizm. Okazało się jednak, że i z tymi problemami film nasz potrafi uporać się zdecydowanie i energicznie. Po pierwsze — zwiększając znacznie ilość scen łóżkowych i wprowadzając bardziej nowoczesne warianty (np. wariant samochodowy — patrz „Szerokiej drogi, kochanie” lub wariant trumieny — patrz „Trzecia część nocy” itp.). Po drugie — uatrakcyjniając warstwę plastyczną licznymi nagościami, które posiadają ten dodatkowy walor, że odwracają uwagę widzów od braków i niedociągnięć natury dramatycznej, psychologicznej, logicznej oraz warsztatowej. Szczególnie cenne okazały się nagie biusty, które nadają się do każdego filmu (od kryminału „Brylanty pani Zuzy” począwszy — na dramacie moralno-obyczajowym „Kardio-gram” skończywszy). Ujawniły się w ten sposób nowe indywidualności i można było ożywić polską kinematografię dopływem młodych sił, które przy konwencjonalnym rozumieniu zasad gry autorskiej nie miałyby, niestety, wielkich szans. Oszczędzone na zbytecznych strojach sumy będą mogły być przeznaczone na realizację kilku poważnych filmów kostiumowych. Po trzecie — ujmując w sposób pełniejszy i pogłębiając złożoną problematykę seksualną. Na pierwszy ogień poszła młodzież, jako że obiekt to wdzieny i fotogeniczny. Nadto młodzież należy wychować, co praktycznie rzecz biorąc, ma swoje dobre strony, bowiem nawet wówczas, kiedy się nie ma nic do powiedzenia, zawsze starczy materiału na zrobienie paru uwag wychowawczo-umoralniających.

Na cztery filmy z fali „pod serduszkami” i nagim biustem” trzy: „Kto wierzy w bociany?” Amiradżibi i Stawińskiego, „Seksolatki” Hübnera i „Trzeba zabić tę miłość” Morgensterna traktują właśnie o młodzieży. „Anatomia miłości” Zalus-

kiego dotyczyć ma dorosłych.

Z wszystkich czterech wyłania się pewien model miłości, wyrażający zapewne osobiste przekonania autorów. Moglibyśmy go określić, jako model plenerowo-spacerowy. Jest zatem plener — brzeg morza, jezioro, pusta wysepka, nawet wielkomiejskie ulice (byłe z kałużami — chodź bowiem o refleksy na wodzie!). Zakochani spacerują, biegają, trzymają się za ręce, karmią ptaszki i tak dalej. Od czasu do czasu udają się na prywatkę. Ładne to, poetyczne, szalenie filmowe. Kiedy Adam z „Anatomii miłości” przestaje Ewę zabierać na spacer, ta, zgodnie z logiką polskiego filmu, wnioskując, że już jej nie kocha. I rzeczywiście. Myślę, że nie byłoby rzeczą niewłaściwą doszukiwać się zależności między poglądami naszych filmowców na istotę i kształt miłości, a popularnym w społeczeństwie powiedzeniem „chodź ze sobą”, określającym w sposób nowoczesny i dyskretny, zgodny z przekrojonym DSV stan zaangażowania uczuciowego. Świadczyłoby to pozytywnie o związkach polskiego filmu z aktualną rzeczywistością.

„Anatomia miłości” opowiada, jak już wspominałam, o ludziach dorosłych, doświadczonych, dlatego też model plenerowo-spacerowy wzbogacono o dancing i brydża.

Niestety, mimo najlepszych chęci, nie sposób całego pełnometrażowego dzieła wypełnić spacerami, prywatkami, brydżem, dancin-giem oraz nagimi biustami. I tu zaczynają się zasadnicze trudności. W filmie o młodzieży można je części-

wo, jak wiemy, rozwiązać przy pomocy treści wychowawczych. Natomiast w dziełach o dorosłych najlepiej mieć w zanadru jakąś dodatkową postać, którą w krytycznym momencie uśmiercamy. Sukces „Anatomii miłości” dowodzi doskonałości tej metody.

Warto też parę uwag poświęcić rodzicom. Mogą oni być

ojciec dziewczyny w „Trzeba zabić tę miłość”, lub zbyt mało zajmować się dziełmi („Kto wierzy w bociany?”). Obecność rodziców stwarza możliwość wprowadzenia akcentów satyrycznych i komediowych (rodzice dziewczyny z „Seksolaków”, matka z „Anatomii miłości” itd.). Na ogół nie powinno się przedstawiać ich w przesadnie pozytywnym świetle. Krytycyzm w tym



albo drobnomieszczańscy, ze skłonnościami do materializmu finansowego (patrz „Anatomia miłości”, „Seksolatki”), nadmiernie tolerancyjni z uwagi na własne grzeszki (ojciec chłopca w „Seksolakach”,

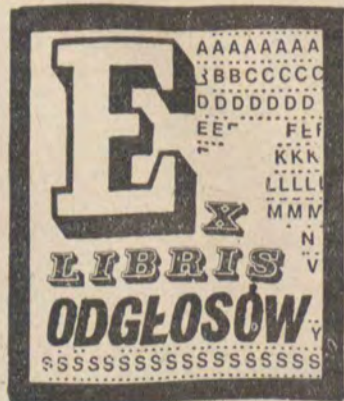
przypadku świadczy o postępowej i nowoczesnej postawie autorów, nadto korzystnie usposabia młodych widzów, którzy, jak wiadomo, stanowią przeważającą część publiczności kinowej.

Proponowany model miłości może się osobom mniej wyrobionym wydawać nieco schematyczny i monotony. Nigdzie jednak nie powiedziano, że miłość ma być źródłem rozkoszy, przyjemności i radości. Z „Anatomii miłości” na przykład wynika jasno, że zaangażowanie uczuciowe jest szalenie męczące dla obu stron, powoduje rozstrój nerwowy tudzież frustrację. I dopiero, kiedy tak zwana miłość przemija, bohaterowie odczuwają wyraźną ulgę i odzyskują radość życia. Miłość może stać się źródłem komplikacji życiowych („Kto wierzy w bociany?”, „Anatomia miłości”), może wpływać na wzrost przestępczości („Trzeba zabić tę miłość”), na zaniedbanie się w nauce i zerwanie więzów koleżeńskich („Kto wierzy w bociany?”), może spowodować na złą drogę, a nawet spowodować wypadek, połączony z poważnymi obrażeniami ciała („Seksolatki”). Miłość fizyczna pociągająca młodzież jako owoc zakazany, jest jednak dla niej wyraźnie szkodliwa. Dla dorosłych zaś stanowi nudny i nużący obowiązek (patrz ojciec chłopca i jego sympatia w „Seksolakach”). W „Anatomii miłości” Ewa podśpiewuje sobie w duchu w trakcie zbliżenia, by w ten sposób chociaż urozmaicić i uatrakcyjnić to, co się dzieje na ekranie.

Te wszystkie negatywne konsekwencje uczuć i seksu pokazują nasi filmowcy śmiało i bez osłonek. Jeżeli ktoś po obejrzeniu wspomnianych dzieł znajdzie w sobie jeszcze tyle odwagi, by mimo tak oczywistych niebezpieczeństw zakochać się — sam sobie będzie winien. Film polski go do tego nie zachęcał.

W tym świetle całkowicie bezpodstawnie wydają się zarzuty pomawiające rodzimych twórców filmowych o infantylizm, brak koncepcji, wrażliwości zmysłowej, wiedzy o życiu i psychologii. Uważam natomiast, wbrew niektórym insynuacjom, że w dobie ogólnego zepsucia i demoralizacji film polski zdołał zachować zdrową postawę moralną.

MARIA
KORNATOWSKA



spopularyzowane przez „Przekrój” — pisane zresztą trochę jak gdyby pod stylizację (ówczesną) tego magazynu — stały się bardzo głośne. Przez czas jakiś przestroniły nawet Szaniawskiego-dramaturga, wtedy gdy Melania Kierczyńska, znająca pisarzy realizmu, odsądzała „Dwa teatry” od celi i ulary.

Potem powróciły właściwe proporcje, ale i powrócił profesor Tutka w tomie wydanym w roku 1954. Sześć lat później opowieści profesora przybyło i dziś w Bibliotece XXX-lecia wydano całość owych przeuroczych nowel.

Czym są te gawędy? Chyba najbardziej urzekła w nich mądra, dalekie od zacietrzewienia spojrzenie na świat i ludzki. Konfrontacja obiegowych sądów i wewnętrznej prawdy jednostki, ironia, świadomość niejednoznaczności takich pojęć jak: prawda, dobro, odpowiedzialność; wreszcie poezja

PROFESOR TUTKA

Jerzy Szaniawski całą swoją twórczość poświęcił teatrowi. Sponad dwudziestu jego sztuk, do klasyki polskiego dramatu wchodzi takie, jak „Dwa teatry”, „Zeglarz”, „Adwokat i róża”, „Most”. Ale obok dramatopisarskiej działalności, być może nawet na marginesie pisał Szaniawski uroczyste opowieści o profesorze Tutce. W swoim czasie

i nastrój tych opowieści — niepowtarzalny klimat zadumy nad światem.

Profesor Tutka opowiada. Rozumny i wyrozumiały, tolerancyjny i dociekliwy. Zyczałby i współczujący. I wreszcie — nieprawdopodobnie jak na dzisiejsze czasy. Może właśnie dlatego tak bardzo potrzebny.

J. WIL

Jerzy Szaniawski „PROFESOR TUTKA”, Wyd. Literackie 1972.

NARODZINY ARTYSTY

Dwa, nakładające się na siebie, czasy: dzieciństwo i lata młodzieńcze, dwie epoki — jedna zamknięta płotem chłopskiego podwórka i druga, zaczynająca się w pracowni malarzkiej, dwie postawy — sentymentalizm wobec przyszłości i naturalna potrzeba nowego. Oto w niewielkim skrócie temat książki Haliny Danilczyk pt.: „Świątek z gruszy”. Książka otrzymała III nagrodę w konkursie zorganizowanym przez LSW, ZLP i ZG ZMW na debiut prozatorski. Wiesz, ten niewyczerpany i ciągle inspirowany temat, zawsze miedzy dwiema wyznacznymi i swoich pleców. A każde nowe, nawet nie odkrywcze spojrzenie, może przecież wzbogacić naszą wiedzę zarówno o tych odwiecznych chłopskich konfliktach, jak i o chłopskich dziełach noszących w sobie „iskrę bożą”, tych wszystkich artystach, dla których widzenie świata jest właśnie ich zwyczajnym widzeniem, nie zaś modą, pozą czy umiętym kabyntystwem. Antek Wierzbina na pewno będzie scenografem, będzie słynnym artystą, wielkim człowiekiem, lecz na zawsze pozostanie małym wiejskim chłopcem, stragającym z konaru gruszy swego pierwszego, prymitywnego światła.

Halina Danilczyk swoją książkę przepoila uroklivością wsi, tej autentycznej polskiej wsi rozrzuconej wśród błotnistych dojazdów, z chałupami oblepionymi tysiącami much, z różowymi ryjami świd wyglądających przez otwarte drzwi chlewów.

Dlatego przemiany zachodzące w psychice Antka Wierzbiny nigdy nie potrafią na zawsze oddzielić go od jego dzieci-

stwa, od gleby, na której wyrósł i od ziemi, skąd czerpał pierwsze natchnienie.

E. J.

Halina Danilczyk: „ŚWIATEK Z GRUSZY”. LSW. 1972 r. Stron 176.

DZIENNIKI GRZYMAŁY

„Rozmowy z samym sobą” spisywał Adam Grzymała-Siedlecki przez kilkanaście lat. Część z tych zapisów publikował za życia, większość jednak utknęła w zbiorach rękopisów Biblioteki Narodowej. Kto wie, czy gdzieś w zakamarkach innych bibliotek nie leżą pasjonujące maszynopisy wspomnień i dzienników Grzymały-Siedleckiego?

Dzienniki Grzymały określiłem mianem pasjonujących — choć na pewno nie jest to zapis ściśle dokumentalny. „Dla Autora — pisze wydawca — ważniejsze jest przekazanie istotnego sensu myśli niż całkiem poprawna, wedle dzisiejszych zasad składnia, a także ważniejsza autentyczność pamięci i zapisu, niż ścisłość historyczna”. Dlatego też trzeba czytać te dzienniki jako dokument pisarskiej pamięci, a nie dokument historii.

Adam Grzymała-Siedlecki urodził się w roku 1876 — działał czynnie jako pisarz i człowiek teatru aż do swojej śmierci w roku 1967. Pierwszą jego książką traktowała o twórczości Wyspiańskiego i napisał ją Grzymała w parę lat po premierze „Wesela”. Teatrni krakowskimi kierował w latach 1906—1918, życie zakończył jako kierownik literacki teatru w Bydgoszczy.

A w ogóle był to człowiek o ogromnej wiedzy i kulturze i jego notatki, refleksje, wspomnienia, anegdoty — czyta się znakomicie. Poszerzają one wiedzę o świecie, kulturze, teatrze i po prostu o życiu. Nie to, że wydawca zastrzegł się przed zbyt dokumentalnym traktowaniem tych dzienników. To w końcu jest dokument minionych lat, jeśli nawet jakieś fakty czy daty nie zgadzają się z ustaleniami historyków.

J. WIL

Adam Grzymała-Siedlecki: „ROZMOWY Z SAMYM SOBĄ”, Wydawn. „Znak”, 1972.

GRANDHOTEL

(Dalszy ciąg ze str. 1)

I oto przyszła kolej na nasz sławetny „Grand”.

Chwileczkę. Wiem, że to słowo potrąca dzwoni sensacji. Ale proszę o cierpliwość. Nie od razu wderzemy się do alkowy. Niechże poczeka trochę prostytutka. Niechże uspokoją się kelnerzy. Najpierw trzeba zrobić mały test...

Podchodzę do Krepęgo Bola.

Krepy Bolo, pięćdziesięcioletni arcywaniak kawiarniany, ma twarz łagodniejszą od brzośki jutrzynki. Krepy Bolo przypomina księdza, który przez roztrągnięcie zapomniawszy sutannę. Ja się go pytam, w którym roku zbudowali ten gmach, a on do mnie przez ten swój słodziutki uśmiech:

— Mmmma ppan chwilę czasu? Tło niech się ppan od...

Dobra. Skierowałem to pytanie do pani, która podawała mi herbatę. Powiedziała:

— Jestem na praktyce. Nas o tych rzeczach w szkole nie uczyli.

Więc zaatakowałem kierowniczkę sali...

— A po co to panu?

Więc szatniarza...

Rozłożył ręce.

Więc windziarza...

Patrzył na mnie zimnym, pustym wzrokiem człowieka, którego nie potrafi wyprowadzić z równowagi żaden cholerny głupiec.

Więc Wilmańskiego...

Opowiedział mi najpierw anegdotę o carskim, wasatym generale, który po trzymiesięcznym pobycie w hotelu zażądał wreszcie rachunku i zaczął go skrupulatnie, punkt po punkcie sprawdzać w obecności szefa recepcji, mrucząc pod nosem: „prawie, kawion był, szampan był, koniak...”, kapiel?... Ej, ty, swolocz! Kapieli nie było!

A później zagłębił się w mrok przeszłości...

Otóż w 1860 roku stały w tym miejscu (róg Piotrkowskiej i Krótkiej — dziś

Traugutta) dwa drewniane, rachityczne domki i dopiero po dwunastu latach zastąpiono je murowanym, dwupiętrowym, zdobnym w gzymsy i fryzy gmachem, w którym od frontu mieszkali ludzie, a w posesji mieściła się fabryka wyrobów weniowanych. Nie wiadomo, jak wiodło się tej fabryczce, tak czy owak w roku 1888 gmach uległ przebudowie, której autorem był znany polski architekt, Romuald Majewski. W tym samym roku Ludwik Mayer, prawowity właściciel nieruchomości, puścił ją w dzierżawę niejakemu Schwartzowi, Austriakowi, który założył tu pierwszy hotel, składający się z 45 pokoi w cenie od jednego do trzech i pół rubla za dobę.

W 1896 roku hotel posiadał już 70 numerów oraz salę balową i restaurację, przy czym na parterze był skład towarów Mayera.

W 1904, za 475 tysięcy rubli, Mayer sprzedał cały kram Towarzystwu Akcyjnemu „Grand Hotel”.

W 1905 — fakt ten podaje na odpowiedzialność doc. Andrzeja Feliksa Grabskiego — odbyła się w hotelowych apartamentach ogólnolódzka narada elity fabrykantów i kupców nabywających wszystkie akcje hotelu. I po dwóch latach, według projektu Dawida Landego, powstał nowy, czteropiętrowy hotel, wyposażony w ostatnie zdobycze cywilizacji: 150 pokoi z ciepłą wodą i telefonami, kanalizacją, wodociągami, gazem, elektrycznością, siedem wind, i coś tam jeszcze. Jest to ten sam gmach, w którym bryluje dzisiaj Krepy Bolo. **Grand Hotel liczy sobie akurat SZESZCZĘŚLIWIE!**

No, ale ja nie mam zamiaru pisać tutaj jubileuszowej laurki. Spokojnie. Brudny mogą jeszcze pocześć. Zróbmy, póki co, parę porównań. Pytam Wilmańskiego, ile jest w Łodzi hoteli. Liczy:

— „Grand”, „Savoy”, „Polonia” i „Mały”.

— A więc cztery?

— Zgadza się. Cztery.

— A wiesz, ile było w roku 1890?

— Wiem. Siedem.

— No, dobrze... a ile w 1900?

— Osiemnaście. Z tego aż pięć przy Piotrkowskiej.

— Czyli, że teraz jest gorzej?

— Nie! — krzyczy obłudny Wilmański. — Jest lepiej! Przecież hotele są siedmiu delegacyjnych nieruchomości.

— Ale kiedyś była lepsza obsługa...

— Skąd? — I cytuję mi pomieszczonej w przewodniku „Łódź” (Warszawa 1909) wypowiedź Francuza De Vermon-Jacquesa: „Do najwygodniej urządzonej należą „Grand Hotel”, ale obsługę posiada nie dość uprzejmą i przeważnie tylko niemieckim władającą”.

— Zatem hotelowe chamstwo jest zdeterminowane tradycjami?

— Chamstwo — tak. Ale nie język... Dzisiaj się włada tylko „po polsku”.

Ten Wilmański zaczął mnie drażnić. Niby wszystkie rozumy pozjadał. Wali beczkami, z pamięci, podaną 8 marca 1888 roku przez „Dziennik Łódzki” listę grandhotelowych gości: pan Zimerman z Budapesztu, pan Mengubi z Moskwy, pan Hahn z Chemnitz, pan Lipschitz z Rygi...

Nie przemawia do mnie wycieczka z połówki gazet i zmurszałych książek koktajl faktów. Moją pożywką jest współczesność. Ja pamiętam „Grand” sprzed lat piętnastu. Kiedy to przesiadywał w nim jeszcze Zbyszek Cybulski i wielu innych idoli pokoleń. Ja pamiętam te „słodkie, secesyjne wrota, którymi wchodziło się do recepcji, i te obrotowe, ciężkie drzwi, które prowadziły do kawiarni, a więc to, co zastąpione zostało przez jakieś magika pseudonowo-

czesnym frontonem i odrapną dyktą. Ja pamiętam „Malinową” i „Syrenę” z czasów, kiedy placilo się tam drogo za dobre dania (teraz płaci się jeszcze drożej za ziele) oraz obie sale kawiarni, która miała wtedy swój niepowtarzalny urok i styl: w pierwszej były wygodne, obite zielonym sukniem fotele i w ogóle wszystko w niej było zielone, a druga, zwana tramwajem, cała była na bordowo i stała w niej pod ścianami miękkie kanapy.

Ej, żal serce ścisła. Co nam zostało z tych lat?

Jest kwadrans po siódmej. Luty 1973. Jem śniadanie, które byłoby do przyjęcia, gdyby nie te rozpakane, zatrącające wapnem jajeczka, i patrzę na sufit, który pokrywają szczerze czarne, tekturowe, podobne do bębnow obręcze. Te ozdoby nie zakrywają, niestety, wybebeszeń elektrycznych, a krzesła przy ciasnym stolikach są wąskie, niezwykle kanciaste i jak ktoś waży w okolicach setki, nie ma szans na utrzymanie równowagi. Tam, gdzie kiedyś był „tramwaj”, teraz jest bufet — niby ukryty, a przecież wszystko widać przez dwa toczne wejścia, słychać nawet jak kłóca się między sobą kelnerki, którym w gruncie rzeczy nie mam nic do zarzucenia.

Pora śniadań, trwająca mniej więcej do dziesiątej trzydzięci, jest najspokojniejsza i przyjemna. Sala zionie jeszcze pustką, chyba, że zjadą się jakieś grupowe wycieczki. W czyszy strzeli nierzapalka lub zaszeleści gazeta. Cudzoziemcy jedzą w pełnym skupieniu milczeniu, niektórzy delegacyjni rodacy już od rana zaprawiają się koniakiem. Od czasu do czasu z toalety wynurza się sprzątaczką w przybrudzonej kitli i nie bacząc na zdziwionych gości jeździ im przed nosem swoją zmyślną maszynką do zbierania paprochów.

O jedenastej zaczyna się lekki ruch. Kelnerki ścigają się do stołów obrusy i od

tej chwili serwują już tylko napoje i ciastka na goły blat. Znak, że lokal należy teraz do stałych bywalców z miasta. Paru dziennikarzy, paru emerytowanych prawników, aktor, któremu nie powiodło się w życiu, operetkowa śpiewaczka, której kwadrans dawno już minął — oto elita kulturalna „Grandki”. Ludzie interesu — właściciele salonów fryzjerskich, właściciele sklepików z tandetą, prywatni jubilerzy, szewcy, kapelusznicy, zegarmistrz, krawcy. Niebieskie ptaki-dziwaki, których wypiewaka można na nutę: i cinkciarze, dolinarze, waluciarze i kanciarze, prostytutki i szulerzy, co im ta robota leży... Uprzednicy, którym udało się drapać na godzinę z pracy. Elegancko ubrani, pachnący lawendą emeryci, którzy celebrowali tu swoje pół-czarnej. Samotni, czterdziestoletni mężczyźni, którzy ciągle jeszcze wierzą, że uśmiechnie się do nich szczęście. Kumoski — nie zatrudnione panie domów, które stanowią zdecydowaną większość klienteli — przesiadujące przy stolikach całymi godzinami, rajcujące, śledzące każdą nową twarz. Długowłosi, supermodni chłopczkowicze, którzy chcą zrobić jakąś karierę i szykowne nastolatki, z których część ślepi za cudzoziemcami, a część wciąga się w łaski cór Koryntu — zatem ludzie wszelkiego wieku i zawodu, najprzeróżniejszych upodobań i ambicji.

Jakże ta symbioza jest możliwa? Przecież poza tą papuzką, kwadratową, przypominającą lokal dworcowy kłitką — nie ich nie łączy.

Nic? Czy aby nie jestem w błędzie?

Niby dobrze „od” dawna znam ten świat, a przecież jeden z muzyków, którzy mają tu zresztą swoją gieldę, odkrywa przede mną nowe horyzonty...

Czegodni, podeszli wiekiem przywaciarze nie obe-

szliby się bez waluciarzy. Cinkciarze skupujący złoto pod sklepami „Jubilerów” znajdują tu nieraz skwapliwych nabywców. Fryzjerzy i krawcy nie wyżyliby bez prostytuttek, które, aczkolwiek, nieregularnie, placą im bardzo szczerze, świadcząc przy tym liczne usługi dla ludności. O, ten wykształcony starowina, jest ich zagorzałym wielbicielem. Tych dwóch panów o nieskalanych obliczach — też.

Próba dialogu:

— Ewuńka, ty mnie kochasz?

— Ja pana, panie profesore, bardzo kocham!

— Jak bardzo?

— Bardzo, bardzo! Mam jeszcze u pana profesora słówkę za zeszyt raz...

Ci niewinnie wyglądający młodzieńcy w barwnych krawatach, to rajfurzy. Zawód, wydawałoby się — przestarzały, a jednak każda szanująca się dziewczynka potrzebuje silnego męskiego ramienia, kogoś, kto potrafi namotać klienta, i w razie konieczności, przykładnie go skarcić: postrzążyć, uderzyć, wypatroszyć z gotowizny. Dobry rajfur zna po łebkach ze dwa obce języki; umie przy tym zahandlować ciuchami, przełiczyć na złotówki każdą zagraniczną walutę, przewidywać natot obcy język, zademonstrować koleżankom konkurenta. Jednakże największą jego zaletą są wspaniałe rozwinięte stosunki z personelem lokalu. Polega to na prostej dewizie: bądź uprzejmy, spokojny, cierpliwy i w specyficzny sposób wdzięczny, a w rewanżu ty i twoja podopieczna będziecie mieli lepsze życie. Może uda się wam wejść w nocy na gapisko do „Malinowej”? Może po godzinie ośmiemnej wtargniecie hotelowym traktem do kawiarni, nie placąc czterdziestu złotych za tak zwane karty konsumpcyjne i działalność rozrywkową, wykonywaną na fortepianie przez tapera? Może Ewuńka prześliznie się po dwudziestej drugiej na wysłuchanie czerwonym plużem schody i to ją trudniejszą, strzeżoną, restauracyjną drogą? Może dostanie jakieś ciekawy telefon, albo drogocenną wskazówkę, albo przyjacielską przestrożę?

Przed kilkoma laty zbierałem materiał do reportażu o tych grandhotelowych sutenerskich powiązaniach. Myślę, że gdybym wówczas

WŁ KRYSTALIZOWANIE PROFILU

Wydawnictwo Łódzkie — jedną z pierwszych oficyn terenowych — zorganizowano w 1957 r., po okresie niemal całkowitej monopolizacji spraw edytorskich w stolicy. Ponad 15 lat istnienia, około 800 pozycji w dorobku, blisko 100 tytułów wydawanych rocznie — są to cyfry, które stwarzają już warunki do zaprezentowania najciekawszych osiągnięć środowiska, pozwalają na skonfrontowanie założeń i celów z praktyką edytorską.

Jeżeli zatem tu i ówdzie zdarza się słyszeć głosy krytyczne o działalności Wydawnictwa, zarzucające zwłaszcza stosowanie nadzbyt ulgowej taryfy przy kwalifikowaniu maszynopisów do druku, premiowanie samej tematyki, a nie rzeczowych osiągnięć twórczych, przypadkowy charakter szeregu książek, to świadczą o tym, że łódzka oficyna nie wyprecyzowała w dostatecznie klarowny sposób swojego profilu, że nie ma jasnej koncepcji działania. Ten brak, narzucający się zwłaszcza przy porównaniu z niektórymi innymi wydawnictwami regionalnymi, wyraźnego, indywidualnego oblicza, brak precyzy-

nie wykreślonych i z większą konsekwencją realizowanych założeń tematycznych, wynikał na pewno z niedostatku tradycji, z faktu, że Łódź jest jednym z najmłodszych ośrodków edytorskich w kraju, i z nadzbyt sztywnego górsu profilowego, ale również z chwiejności samej polityki edytorskiej, która usiłowała załatwić na raz zbyt wiele spraw, pomieścić zbyt wiele wątków. A może i plany dyrektora Wiesława Jazdyńskiego, który w swoim czasie planował aż trzy nowe serie, obliczone na zainteresowanie ogólnopolskiego rynku czytelniczego, okazały się zbyt rozległe, zbyt ambitne, aby nie musiały zostać przykrojone

do twardych realiów życia?

Tak się złożyło, że dążenie samego Wydawnictwa do ściślejszego samookreślenia się zbiegło się w czasie z działaniem naczelnego organu polskiego edytorstwa — Zjednoczenia Wydawnictw — który podjął prace zmierzające do, mówiąc w największym skrócie, uporządkowania profilu poszczególnych placówek wydawniczych. Coraz większe różnicowanie się produkcji wydawniczej pod względem tematyki, rodzajów, gatunków i form piśmienniczych narzuca konieczność odejścia od wsystkoizmu i zastosowania bardziej racjonalnej specjalizacji. Celem prac podjętych przez Naczelny Zarząd Wydawnictw jest zatem lepsze dostosowanie struktury i zakresu działalności poszczególnych przedsiębiorstw wydawniczych do zadań programowych polskiego ruchu wydawniczego, stworzenie optymalnych warunków dla realizacji polityki wydawniczej wynikającej z uchwał VI Zjazdu PZPR. Wydawnictwa regionalne, przy zaowaniu, a nawet zmocnieniu, ich funkcji usługowych wobec miejscowego środowiska, otrzymują niejako znowelizowane „akty

erekcyjne”, uwzględniające nowy zakres obowiązków wynikających z podziału ogólnopolskich zadań edytorskich.

Isałem już kiedyś z satysfakcją o samoistnym „wyprofilowaniu się” niektórych wydawnictw pozawarszawskich, o ich udanej specjalizacji w poszczególnych kręgach językowych. Godne uwagi rezultaty osiągnęła tu zwłaszcza prowadzona już od kilkunastu lat przez Wydawnictwo Poznańskie seria Dzieł Pisarzy Skandynawskich, która wyprecyzowała kryteria doboru utworów i skoncentrowała się na zjawiskach istotnie najciekawszych i najwartościowszych we współczesnym literaturach naszych północnych sąsiadów. Nieco świeższej daty, ale równie obliczonej na swojej koncepcji są: Biblioteka Pisarzy Czeskich i Słowackich Wydawnictwa „Śląsk” oraz seria „Prozy Iberoamerykańskiej”, którą rozpoczęło krakowskie Wydawnictwo Literackie. Wyraźne nadzieje, że lista tych serii przekładowych z czasem się rozszerzy i obejmie dalsze kręgi językowe bądź kręgi tematyczne w piśmiennictwie światowym, że wokół tych serii powstaną

wysoko wyspecjalizowane grupy tłumaczy i redaktorów, co daje najlepszą rekompensatę kompetencji i gruntownej znajomości przedmiotu.

W tym kontekście zasługuje na uwagę fakt, że Wydawnictwo Łódzkie, jako jeden z zakresów zadań, za który ma być odpowiedzialne na ogólnopolskim rynku czytelniczym, otrzymało przekłady z literatury białoruskiej oraz nadbałtyckich republik radzieckich. Ponieważ dotychczas przekładano z tych literatur dorywczo i bez określonej koncepcji, nowa biblioteczka będzie z jednej strony stanowić prezentację najciekawszego i najbardziej wartościowego dorobku tych literatur, z drugiej zaś zaspokoi potrzebę wiedzy o tych krajach, ich specyfice, życiu, charakterze narodowym, zwyczajach i obyczajach mieszkańców, tradycjach kulturalnych, martyrologii wojennej, wreszcie będzie służyć idei przyjaźni.

Wydawnictwo Łódzkie, mające doskonale zaplecze w postaci środowiska tłumaczy (T. Chrościelewski, J. Huszcza, J. M. Kononowicz, I. Sikirski, M. Wawrzkiwicz), jest szczególnie predestynowane do zajęcia się działalnością przekładową ze wspomnianych wyżej języków, a także do wydawania wybranych nowości współczesnej prozy rosyjskiej i innych republik radzieckich. O możliwościach łódzkiej oficyny w tym zakresie zaświadcza pierwsze książki: „Antologia poezji białoruskiej”, tom prozy J. Bryla, wybór poezji M. Bahdanowicza,

Drugą specjalnością, przydaną Wydawnictwu Łódzkiemu w jego nowej „konstytucji”, są lektury szkolne. Wiadomo, że były one wydawane bardzo różnie, często na marginesie głównej działalności poszczególnych oficyn, co niekorzystnie odbijało się na poziomie ich opracowania, na ich szacie zewnętrznej. Ponadto ich nakłady i częstotliwość wznowiania nie gwarantowały zaspokojenia podstawowych potrzeb czytelników. Aby zmienić ten stan rzeczy, Naczelny Zarząd Wydawnictw powołał cztery oficyny: PIW, „Czytelnik”, Ludowa Spółdzielnie Wydawnicza i Wydawnictwo Łódzkie, które będą specjalizować się w lekturach i ponosić główną odpowiedzialność za tę dziedzinę działalności edytorskiej. Wydawnictwo Łódzkie, które otrzymało już do wyłącznej dyspozycji kilka pozycji lekturowych („Placówka” i „Anielka” Prusa, po jednym utworze Fredry, Zapolskiej, Kruczkowskiego, Czesława), zamierza, korzystając ze znakomitej bazy filologicznej w Uniwersytecie Łódzkim, bardzo starannie opracowywać swoją serię szkolną, zaopatrując ją w aparat niezbędnych wstępów, komentarzy i aneksów. Pragnie również wzbogacić szatę graficzną książek, a nawet stylizować okładki poszczególnych utworów w duchu epoki, i w tym celu ogłasza specjalny konkurs wśród łódzkich artystów. Być może konkurs ten, niezależnie od swego głównego celu, jakim jest uczynienie szarych zwykłe i tandetnie wykonanych lektur szkolnych miłszymi oku, pobudzi plastyków łódzkich do untraktowania szaty graficznej również innych książek WL,

to ze szczegółami opisał, byłby duży skandal. — Rajfurzy, prostytutki i ci w liberach o nieposzlakowanej opinii i pięknej przeszłości, spółka akcyjna o wyrafinowanym systemie pracy: ktoś do kogoś słowo w progu, ktoś do kogoś oko w głębi sali, i już panienka podąża na górę bordowymi schodami, nie nekana przez hotelowych cerberów, albo nawet podwożona przez nich windą... Później — puk, puk pod wskazany numer, a jeszcze później, po wyjściu z numeru, panienka dawała wyraz swojej lojalności wobec grandhotelowych udziałowców, podnosząc na jednym z pięter dywan i wsuwając pod niego w oznaczonym miejscu funty, marki, dolary i korony. Jednakże kiedyś ten system i ta uczciwość nawaliły, no i strona oszukana zdecydowała się zasypać.

Powiedział do mnie pewien znawca hotelowych obyczajów:

— Kiedy pan wydrukuje ten artykuł, poniesie pan potężny porażkę. Raz, że narobi pan sobie wrogów, dwa, że nikt panu nie uwierzy i trzy, że choćby pan stał na głowie, i tak wypadnie to młodo w porównaniu z rzeczywistością. Tu się dzieją rzeczy, od których formalnie można wyliczyć. Tu są sprawy, o których nawet się panu nie śniło. Tu w pięć minut można sprzedać samochód i kupić za pół miliona kolekcję brzyllantów, a jak ktoś ma dużo pieniędzy, to znajduje nawet drogę do domów gry, gdzie krąży najprawdziwsza ruleta i gdzie najniższa pokerowa stawka wynosi sto złotych. Słyszał pan kiedyś o... i wymieniał nazwisko, które na wszelki wypadek, gdyby mi nie coś stało, jest już znane redakcji.

— Nie — mówię. — Nie słyszałem.

— A zna pan? — znowu pada nazwisko.

— Nie znam.

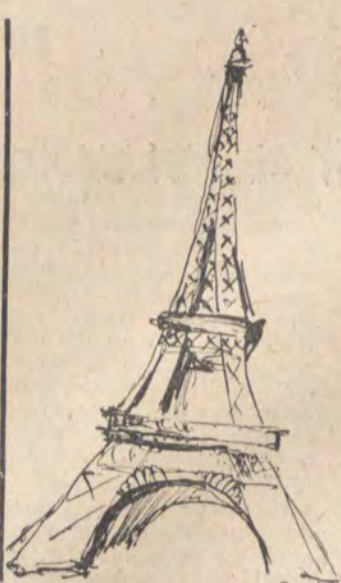
— Szkoda. On mógłby panu nagrać to i owo.

— Tak pan myśli?

Próbowałem rozgryźć faceta, ale uciekał mi z oczami. Uklonił się jakiegoś panience, pozdrowił uniesioną ręką Krepęgo Bola, który akurat siedzi do szatni pod szpalarem i czujnych spojrzeń.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

(Dalszy ciąg wkrótce.)



(Dalszy ciąg ze str. 1)

wie, lecz co najwyżej wcześniej by zwirował, gdyż nie potrafił być konformistą.

Paryż 1972—73 do złudzenia przypomina gwiazdora, któremu zginęła metryka, wskutek czego stracił poczucie swego wieku i mówi o rzeczach wielkich, zapominając, że należą one do czasu zaprzęskiego. Miastu tysięcy malarzy i kilkunastu galerii ton nadaje raczej Galerie Lafayette, aniżeli galerie Denis René z ulicy La Boétie. Cień Prusienów wydłuzł się niepomniernie, przysłaniając Panteon. I to przeraża przybysza z rozmodlonego i pełnego jałowego kultu dla metropolii świata. Budzi wątpliwości i nakazuje znaczenie chłodniej, sceptycznie spojrzeć na (dzisiaj już niewielki) byznes zwany sztuką. Francuski mieszczanin woli wydać sto franków na gumę do żucia, aniżeli na sztukę.

Liczne galerie, zgromadzone niby skansen, na lewym brzegu Sekwany, poza dniami wernisaży świecą pustkami. Wśród nich nieliczne wystawiają rzeczy dobre. Przeważa miernota i dlatego, wędrowce, który wybierzesz się nad Sekwanę, aby znaleźć to, czego nie masz, że w tym kraju nie istnieje, lecz się z rozczarowaniem, jeśli przyniesiesz doświadczenia sztuki nowej, pulsującej, proponującej coś na przyszłość.

Paryż jest wielkim rentierem, któremu miniona, niezaprzeczalna wielkość i świetność przynosi wspania-

te dochody. Do chwili obecnej otwarta jest w Grand Palais wystawa Szkoły z Fontainebleau. Zebrano na niej ponad 700 eksponatów, reprezentujących wszelkie dyscypliny w sztukach pięknych. Od obrazów i grafik poczynając, na porcelanie, tkaninach i broni skończywszy. Wystawa wspaniała i prawdę powiedziawszy dla niej samej warto piechotą pokonać drogę Lódz — Paryż. Wieleś wielkich retrospektyw i wystaw artystów, którzy znaleźli swe miejsce w najnowszej historii sztuki, jest doprawdy imponująca. Prawdopodobnie w tych niezmiernych skarbach leży siła i atrakcyjność tego miasta. Miasta, które poza wszystkim, co nas w nim razi i bawi, jednocześnie ma to „coś”, czego pozazdrościć by niejedna atrakcyjna kobieta.

Fakt zamknięcia kilku gazet profesjonalnie traktujących o sztuce, a w ich miejsce rozmnożenie się wszelkich wydawnictw typu sexy, każe myśleć o sfrustrowaniu francuskiego społeczeństwa. Ale, jak sądzę, i wkrótce oni zrozumieją, że nie samym Pigallem się żyje.

Gdyby zadano mi pytanie, co we Francji najbardziej mnie zdziwiło, to odpowiedziałbym krótko: młodzież akademicka.

Młodzież żywa, autentycznie zaangażowana jednak w politykę jak i w sztukę. Młodzież długowłosa i malowniczo przystrojona w przedziwne falaszki. Nie kto inny, jak ludzie młodzi wypełniali szczerze katedrę Notre-Dame w czasie koncertów organowych, salę Cluny na koncertach Xenakisa, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w czasie rozlicznych imprez Paryskiego Jesiennego Festiwalu.

Studenci z paryskich czternastu uniwersytetów byli najlepszymi widzami na wielkiej retrospektywie Agama. Artysty, który stosunkowo szybko osiągnął sukces i rozgłos. Obecnie jego wystawa w Musée National d'Art Moderne jest rodzajem artystycznej konsekracji, notabene niezwykle trudno dostępnej, może bardziej, aniżeli Legia Honorowa. Już pierwszy pokaz Agama w Paryżu w Galerii Craven w 1953 roku zasterał przytępił z wielkim entuzjazmem.

Znany francuski teoretyk i plastyk, Michel Seuphor, napisał o nim: „Jest to malarz rzadkiej skromności — nie stawia widzowi swego punktu widzenia, lecz zaprasza go do własnego stanowiska w drodze wolnego wyboru. Jest to chyba najbardziej esencjonalna i rzeczowa ocena istoty twórczości Agama. Artysta formuje obrazy w taki sposób, iż pozwalają oglądać się w wielu mutacjach, w zależności od kąta patrzenia. Agam świadomie odrzucił tradycyjną, nieruchomą płaszczyznę obrazu na rzecz płaszczyzny ruchomych. Efekt ten możliwy jest dzięki użyciu reliefu na powierzchni obrazu. Z jednego punktu widzimy jedynie część reliefu, a za chwilę fragment obrazu, który proporcjonalnie do zmiany pozycji widza, wobec płaszczyzny, ulega stałej metamorfozie, ujawniając coraz to inne efekty plastyczne, skłania niemal prestidigitatorskich możliwości artysty jest ogromna. Ten sam obraz oglądany w ruchu raz to jest zespołem ostrych, czarno-białych, graficznych znaków, to znowu staje się płaszczyzną o delikatnie wibrującej skali barwnej. Agam wierny koncepcji nie zmuszania widza do obejrzenia z dziełem, raz na zawsze ukonstytuowanym, prezentuje obrazy — gry, w których poszczególne elementy reliefu, nałożonego na jednorówną płaszczyznę, można nakładać według własnych upodobań i życzeń. (W swej nadmiernej dbałości o dzieło Galeria przepieczętała napis: „Nie dotykać”, co poważnie zakłócało prawidłowe z nim obcowanie).

W swych monumentalnych, błyszczących chromem rzeźbach, Agam również jest wierny zasadzie mobilności dzieła. Rzeźby kształtują zbiory analogicznych, prostych form, powielanych w odpowiednich proporcjach, co umożliwia ich nakładanie się, mijanie, a więc różne fazy transformacji, dokonanych ręką widza-uczestnika.

Agam jest apologetą i wyrazicielem wieku masowej, perfekcyjnej produkcji, którą posłużył się w swej twórczości. W jego dziele czuje się pełną styczność, wręcz przystawność do epoki industrializacji, która wyraża. Obecność rzeźby Agama na Placu Lincoln w Nowym Jorku wydaje się czymś naturalnym i niemalże biologicznie współzależnym z wielką metropolią. Nie jest jednak Agam jedynie i wyłącznie plewka prymatu techniki. Oprócz poszukiwań w kręgu sztuki optycznej i kinetycznej artysta zrealizował szereg dzieł, posiadających walor głęboko poetycki i ludzki przez swoją oczywistą przekorę. Do nich można zaliczyć zgola surrealistyczny „przedmiot”, jakim jest adapter o czterech ramionach, jednocześnie oddzielający przez każde z ramion inna część utworu, nagrałego na płycie. Przypomina to nieco manifestację muzyczną Johna Cage'a, zgodne z jego teorią „obiektywnego przypadku”, czy też znacznie wcześniejsze doświadczenia tego typu, realizowane przez dadaistów w poematach symultanicznych (jednocześnie czytanych przez kilka osób tego samego utworu).

Można by wymienić cały szereg eksponatów, które wprawiane w ruch przez widza, bądź to puszczały chmurę mydlanych bąbelków, bądź też wydają dźwięki, zmieniając swoją strukturę plastyczną. Dziełem najbardziej uaktywniającym publiczność była niewątpliwie sala, w której ruch człowieka (taniec) system elektronicznych czujników i fotokomórek przetwarzał w dźwięk.

W tradycji naszych odwiecznych doświadczeń, a zatem w naszej świadomości ognie i woda należą do żywiołów wzajemnie się wykluczających. Będącymi antagonistami. Agam w najwspanialszej ze swych ruchomych rzeźb „ogień-woda” zasadę tę przełamał. Oglądanie tej rzeźby jest widowiskiem pasjonującym, poetyckim i ekspresywnym.

Jest to rodzaj fontanny, która w pełnej koegzystencji z przesuwającym się po niej płomieniem, stara się zaprzeczyć naszym doświadczeniom, dowodząc harmonii tych dwu żywiołów. Oprócz swej widowiskowości „ogień-woda” jako rzeźba żywiołów każe snuć refleksje o sprawach ważkich, wręcz ostatecznych. Jest jednocześnie urodzinową świeczką, fontanną na pustyni, jak również zadusznym płomieniem, by ostatecznie uświadomić nam siłę człowieka w dysponowaniu światem przyrody.

Uplywa czas, relatywnie się postawy. Agam na ogół zadziwia mnie jako człowieka myślącego, a porusza tylko wówczas, gdy mówi w sposób ludzki i mądry („ogień-woda”).

„Potrzebowałem tego, co mi przyniosł sukces: kontakt, krzepiącej sensacji, a także dialogu powstałego między mną a publicznością, jak również tego, że moje dzieła, rozbijając formę, jednocześnie ją przywracają”. To jest jedna z wypowiedzi Agama i nie mamy powodów nie wierzyć w jej szczerść.

Van Gogh przerażał. Agam ośmiela. Van Gogh chciał zmienić nie tylko sztukę, ale i życie. Agam życie aprobuje, ba, nawet je pragnie upiększyć.

ANDRZEJ SZONERT

podnoszą rangę Wydawnictwa, są wreszcie — i to jest może najważniejsze — przedmiotem pożądań czytelników.

Wydawnictwo Łódzkie zyskuje tu zresztą, zapewne w sposób przez siebie nie zamierzony, nową specjalizację, w której nie ma jak na razie konkurentów. Tak się złożyło, że niemal równocześnie z wizerunkami niewiast staropolskich ukazały się H. Muszyńskiej-Hoffmanowej opowieści o życiu i afektach sercowych czołowych reprezentantek wielkich rodów arystokratycznych w „czasach króla Stasia i Olszynki Grochowskiej („O paniach z krainy szczęścia”), a w zamierzeniach — jak słyszeć — są oparte na dokumentach i materiale anegdotycznym relacje na temat najbardziej „łódzkiego” romansu w.k.s. Konstantego z Joanną Grudzińską, tudzież romansu Napoleona z Marią Walewską z (łódzkich) Walewic. Wydaje się, że te nieco lżejszego kalibru publikacje, za których wydaniem przemawiają na pewno również względy merkantylne, będą i właściwie dla profilu WL, i pożyteczniejsze społecznie niż np. podejmowane w przeszłości przez Wydawnictwo dla podreperowania budżetu „Dama kameliowa” i „Naszyjnik królowej” Dumasa.

JAN OKOPIEN



„Dzieciństwo spędziłem w wspaniałych ogrodach Babilonu. A węgry na dworcach koło odjeżdżających pociągów”

„Poznałem wszystkie pociągi po ich stukocie. Pociągi europejskie są na czterech taktach kiedy azjatyckie na pięciu lub siedem. Inne idą pod tłumikiem są kociusankami”

Są takie co w monotonnym szczekaniu kół przypominają mi duszną prozę Maeterlincka”

„Międzynarodowe Towarzystwo Wagonów Sypanych i Wielkich Expressów Europejskich przysłało mi swoje prospekty”

BLAIS CENDRARS

„Proza transsyberyjskiej kolei...”

Dworec w KOLUSZKACH to rzeczywiście „przystań zachcianek, rozdroże niepokojów”. Stąd można pojechać wszędzie. Wszędzie i nigdzie. Można pojechać do Paryża, Moskwy, Wiednia i obu Frankfurtów... Można też wrócić do Łodzi. Dworec w Koluszkach to wrota do Europy. Gdyby Koluszki miały jeszcze lotnisko i port morski, można by rzec wtedy śmiało, że mają już wszystko.

Z dworca w Koluszkach człowiek inaczej patrzy na świat, na jego sprawy splecione, pogmatwane w węzły i węzłki. Inaczej patrzy na problemy duże i małe, na rzeczy, zdarzenia i ludzi, patrzy bowiem z pewnego dystansu, dla którego podkładem muzycznym jest schrypnięty, damski sznapsbaryton, płynący z megafonu: „pociąg ekspresowy do Paryża przez... odchodzi z peronu... przy torze... o godzinie... Proszę wsiadać”. Gdyby jakiś kataklizm, podobny na przykład do tajfunu „Lilliana”, który spustoszył w styczniu 1973 roku wybrzeża Florydy, albo do wulkanu Helgafjell, który topi wyspę Heymaey koło Islandii, zniszczył dworec w Koluszkach — pomyślcie sami — o ile byłibymy wtedy ubożsi. My wszyscy.

Siedzę na dworcu w Koluszkach i czekam na swój pociąg. Siedzę, brzdąkam cicho na balustradzie, a myśl moja — cudowne wspomnienia jak fale przyboju, zalewają mą pamięć i moje serce — krąży wokół romańskiej katedry w Spoletto, w której Fra Filippo Lippi malował swe ostatnie freski. Nie freski jednak pamięć niespokojna przed oczyma stawia, a samą postać owego zakonnika, ucznia Masaccia, kochanka pięknej zakonniczki Lukrecji Butti i znakomitego malarza zarzem. Fascynujące. Skłębienie namietności — ciśnienie pary w kotłach lokomotywy — zawory bezpieczeństwa. Co u tego mnicha było takim zaworem bezpieczeństwa? Malarz zakonnica o słodkim uśmiechu, z którą grzeszył przeciw Bogu, czy też sztuka, w której Boga chwalił? A tak, na marginesie — historia, jak pociąg PKP, ma swoich kontrolerów. Wsiadają ni stąd ni zowąd na jakieś tam stacje i proszą o bilety do kontroli...

Puzon, ten z rodziny Waldorffów, powiedział kiedyś (publicznie — bo inaczej nie występuje), że Polacy to naród mało muzy-

(Dalszy ciąg na str. 9)

a Wydawnictwo — do podniesienia standardu wydawnictwa swoich publikacji. Wydawnictwo Łódzkie, które w zamierzeniach inicjatorów całej akcji powinno kiedyś wyrosnąć na swego rodzaju konserwatorium, otrzymało zatem poważny zastrzyk w sensie nakładowym (już w 1973 r. ukaże się około 500.000 egzemplarzy lektur) i finansowym, a jednocześnie bilet wizytowy nobilitujący niejako oficynie na ogólnokrajowym forum czytelnictwa, stwarzający szansę dotarcia szerszym frontem do ogólnopolskiego odbiorcy. Wydaje się, że wśród lektur, których niejako nadzieję co roku będzie Wydawnictwo przybysza, powinny znaleźć się niektóre przynajmniej utwory klasyków związanych z miastem i regionem, jak np. starannie opracowana edycja „Nowel” W. St. Reymonta.

Oprócz tych nowych kierunków, otwierających pole dla interesujących poszukiwań i penetracji, w akcie specjalizacyjnym znalazły potwierdzenie wszystkie tradycyjne już zakresy działalności Wydawnictwa, z wyłączeniem literatury dziecięcej i młodzieżowej, która znajduje się w reku tylko kilku wyspecjalizowanych wydawców. Tak więc Wydawnictwo w dalszym ciągu upowszechniać będzie wiedzę o rewolucyjnych tradycjach proletariatu łódzkiego, które są niewyczerpanym źródłem tematycznym, pokazującym powstanie i rozwój łódzkiego okręgu przemysłowego. Kontynuowana będzie cenna seria pod red. doc. B. Wachowskiej „Studia i materiały do dziejów KPP”, a z licznych publikacji ukażą się m. in. „Ludzie czerwonej

Łodzi” L. Kieszczyńskiego oraz praca W. Bortnowskiego i L. Mroczka „Dwa powstania” (Łódź — Moskwa 1905). Warto byłoby namawiać Wydawnictwo, aby starało się przełamywać opory i skłonić łódzkich naukowców, by w większym niż dotychczas stopniu zajęli się syntezami, i to w tym miarę żywo i przystępnie, a nie tylko tematami przyzwoitych naukowców. Wydawnictwo uzyskało również zgodę na wpisanie do planu wydawniczego produkcji pisarskiej Kielecczyzny i o Kielecczyźnie, co znajdzie wyraz m. in. w publikacji J. Naumiuka „Robotnicze Kiele” i St. Mijasa „Świętokrzyskie szlaki literackie”.

Zasadniczym jednak działem w pracy łódzkiej oficyny, działem najbardziej rozbudowanym pod względem ilościowym i stosunkowo największym, jest literatura piękna, w której Wydawnictwo zdecydowanie preferuje książki związane z problematyką społeczną. Plan na rok 1973 zapowiada tutaj m. in. książkę J. M. Kononowicza „Bo nie zna życia”, nowy tom opowiadań J. Ozgi-Michalskiego pt. „Krajobraz rodzinny”, powieści „Śmierć prokuratora” B. Sztajmerta, „Weże groty” J. Wawrzaka, „Kamienne zegary” A. Zawilskiego. Wydawnictwo pragnie, aby współczesna, zaangażowana twórczość nadal pozostała jego specjalnością de la maison, i należałoby chyba stworzyć mu na tej drodze określone preferencje, włącznie z zezwoleniem na drukowanie również pisarzy z innych środowisk. W zamian można by

oczekiwać od Wydawnictwa pewnego zaostrożenia zasad selekcji, podwyższenia progu wydawalności, zwłaszcza w wypadku debiutów, oraz być może bardziej precyzyjnego określenia swojego profilu w zakresie literatury współczesnej, co uzasadniłoby zgrupowanie wokół oficyny z ulicy Piotrkowskiej konkretnych twórców i dzieł z różnych regionów Polski.

Logiczną kontynuacją, niejako uzupełnieniem literatury pięknej jest literaturoznawstwo, opracowanie z zakresu teorii i historii literatury, dzieł teatrów, mające doskonałe zaplecze w odpowiednich katedrach Uniwersytetu Łódzkiego, w kadry młodych, uzdolnionych naukowców. Trudno zresztą wyobrazić sobie sensownie prowadzony dział literacki bez tej „obudowy”. Wydawnictwo ma wszelkie dane po temu, aby stymulować rozwój środowisk naukowych swojego regionu — dotyczy to zresztą nie tylko katedr polonistycznych, ale i innych dyscyplin humanistyki i nauk społecznych — a nawet wskazywać kierunki ewentualnych prac badawczych, zachęcać do podejmowania ujęć popularnonaukowych konkretnych tematów. Łódzka oficyna ma już spory dorobek w zakresie teatrologii, ale obecnie rozwija szerzej skrzydła do lotu, zarówno jeśli idzie o odtworzenie łódzkiej tradycji krytyczno-literackiej (planowany cykl sylwetek dawnych i współczesnych pisarzy, książka na temat grupy AR-Artyści Rewolucyjni), jak i o inspirowanie rozwoju młodej, współczesnej esejistyki literackiej.

W bieżącym roku będą ją reprezentowały książki A. Waśkiewicza „Rygor i marzenie” oraz A. Biskupskiego „Nie tylko przeciw metaforze”.

Iwreszcie książki, które stanowią dopiero zaczątek bardzo obiecującej i bardzo przez Wydawnictwo hołubionej, nowej dziedziny działalności. Chodzi o publikację z dzieł szeroko pojętej kultury. Rozpoczęła je żywo, ze swadą napisana książka Z. Kuchowicza „Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich”, która zrobiła niewątpliwą karierę na rynku księgarskim i mimo niemałego jak na nasze warunki nakładu 20.000 jest już praktycznie nie do nabycia. Tenże autor pisze książkę pt. „Z dzieł obojętą polskości w XVIII w.”, a A. Zieliński przygotowuje prace, której tematem jest „Początek wieku. Powstawanie kultury narodowej” (I połowa XIX w.). Myślę, że warto ze wszech miar kontynuować ten cykl książek łódzkich naukowców, pisanych z myślą o szerszym czytelniku, choćby nawet daleko wykraczały poza rejony działalności wyznaczonej Wydawnictwu Łódzkiemu. Publikacje tego typu, podobnie jak wychodzące poza regionalne opolki „Księgi humoru polskiego” (w r. 1974 ukaże się ich 2-tomowe wznowienie, zaadaptowane do potrzeb szerszego odbiorcy), są ważne i potrzebne, ponieważ dają środowiskom twórczym cenną szansę publikacyjną, możliwość sprawdzenia się,

Po dziesięciu latach znów stałem na stanowisku.

Sądząc z otoczenia los mi sprzyjał. Stałem bowiem w wysokim borze mając przed sobą, w odległości jakichś czterdziestu metrów zwarte młodniki. Drogę do młodników wypełniał bogaty podszyt, przeważnie jałowce i świerki, które wiatr wysiał, a ziemia wykarmiła. Dobrze miejsce — skonstatowałem z zadowoleniem — zwierzyzna tędy właśnie powinna uchodzić przed nagonką.

Spojrzałem w górę.

Poprzez wierzchołki drzew przeziarało jasne niebo, sącząc szczerze promienie słońca do wnętrza kniei, do młodzieli leśnej, do leśnego runa.

Zaczerpnąłem pełnym haustem ostrego, orzeźwiającego powietrza i pomyślałem radośnie, że niektóre moje obawy były nieuzasadnione. Już sam fakt, że jestem dzisiaj tutaj należy zapisać na moje dobro. Gdybym nie podjął decyzji, siedziałbym w tej chwili w domu, prawdopodobnie przed telewizorem. Tak. Na pewno. Niedziela, godzina jedenasta, byłbym już po śniadaniu i patrzył w szklany ekran. A potem? Potem, gdzieś o drugiej, zjadłbym obiad i wybrał się z rodziną na spacer... Decyzja sprawiła, że jestem w borze. Chociaż to już koniec listopada, bór jest beśnięzny. Ale ileż w nim uroku. Specjalnie zdołają go brzozy, niewiele ich co prawda, ale nie sposób ich nie dostrzec. Ich biaława kora rozjaśnia bór, odbija promienie słońca, łamie je — odbłask, gra światłocieni chwilami aż razi oczy...

Miałem tremę. Tak najwykłępszą tremę. Po dziesięciu latach przerwy człowiek zastanawia się czy podola trudom, wysiłkowi fizycznemu, jakiego wymaga polowanie. Szczególnie zbiorowe. Polując indywidualnie można przycupnąć na brzegu rowu, na skarpcie, na pnium drzewa, by odsapnąć, odpocząć, przywrócić sercu i płuciom normalny rytm. Nikomu to nie przeszkadza i nikt na to nie patrzy. Polowanie zbiorowe, takie jak dzisiejsze, jest okazją dla kolegów — myśliwych. Patrzą dowoli na nowego, na to, jak sobie radzi, jak sobie poczynają...

Rozstałem się z polowaniem z powodu choroby stawu kolanowego, konkretnie z powodu łagodnej w tym stawie, która „nauczyła” się przemieszczać, powodując blokadę stawu. Łagodni nie operowałem, leczylem staw „zachowawczo” — teraz właśnie i on miał zdać egzamin. Myśląc o tym, uniosłem lewą nogę i zgłębiam ją w kolanie, sprawdzając jak trzyma elastyczny bandaż, którym staw asekurowałem. Trzymał dobrze, ograniczał ruchomość stawu tyle ile trzeba, nie umniejszając mojej sprawności w poruszaniu się...

Dzisiejsze polowanie nie odpowie mi na wszystkie moje wątpliwości. Nie będzie na przykład sprawdzianem moich możliwości fizycznych, polowałem bowiem w lesie, a w lesie — wiadomo — chodzi się łatwiej, niż w polu. Owszem, sprawdzą się może z umiejętności strzeleckich, jeżeli coś na mnie wyjdzie...

Dwunastka, Merka, jaką miałem w rękach, była dla mnie wielką niewiadomą. Nie w sensie dostojnym, bo przecież sama firma też coś mówi, ale w sensie praktycznym — nie oddałem z niej dotąd nawet jednego strzału. Prawie ze sklepu na Piotrkowskiej do boru w Rososzycy. Na sprawdzenie i jakiś trening na strzelnicę w Nowosolnej nie było czasu, i tak w sezon łowiecki włączyłem się już po zamknięciu odstępu kurpatów. Zgodnie z metryką, moja strzelba ma dobre skupienie: prawa lufa 82 proc, lewa 70 proc. Przemysł pan Zawadzki, który mi ją w sklepie zachwalał, wyraził się nawet, że lepszego nie trzeba, że jest w sam raz...

Jak będzie z tym strzelaniem? Czy pozostał mi szybki refleks, poprzednia pewność ręki i oka? Czy, polując, odzyskam po jakimś czasie dawną sprawność strzelecką? Nie pierwszego, rzędu, ale sprawność wcale nieźle. A konkurencja jest silna, nawet bardzo silna. Coś niecoś już widziałem, to pędzenie było płate z kołem. Moi nowi koledzy — myśliwi bardzo rzadko strzelali dwa razy do tego samego celu. Strzelali bardzo szybko, elegancko, z gracją, podziwiałem ich szczerze. Szybkości w strzelaniu wymagał szczególnie bór, na medytację nie było tu czasu.

Polowaliśmy na zające, lisy i dziki.

O tym, żeby mi przyszło strzelać do dzika nawet nie pomyślałem. Pamiętałem dobrze swoje poprzednie doświadczenia. Dzięki przeważnie były nie w tym miocie, który się właśnie brało. Koło, z którym teraz poluję słynie z dobrego stanu dzików i dobrych strzelców do czarnego zwierza. Szczególnie jeden z kolegów cieszył się tu sławą malojca. Piastował urząd łowczego, wojskowy, lekarz. Kilka lat młodszy ode mnie, więcej jak średniego wzrostu,

zakolysał w powietrzu. Oddałem mu taki sam znak, na dowód, że go doskonale widzę i, w pierwszej chwili doznałem przyjemnego uczucia — zdawało mi się, że ten kolega — myśliwy z prawej strony chciał w ten sposób okazać mi swoją życzliwość, potem jednak zreflektowałem się. Psia krew, może ten ruch podyktowała mu zwykła ostrożność. W Kole poluje nowy facet, diabli wiedzą, co to za numer, podniósł wprawdzie rękę do góry, kiedy stanął na swoim stanowisku, tak jak należy, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, lepiej machnąć mu jeszcze raz, na wszelki wypadek...

Za dużo myślisz — skarciłem się w duchu — ponosi cię fantazja, szukasz dziury w całym, zamiast patrzeć uważnie przed siebie, bo właśnie rozległ się sygnał dla nagonki, że ma ruszyć.

Mioty biorą zbyt głębokie — pomyślałem krytycznie — ale znów natychmiast zreflektowałem się. Brakuje tylko, żebyś na pierwszym polowaniu czynił uwagi...

Na gałęzi drzewa, jakieś osiem kroków przede mną usiadła zięba i natychmiast zaczęła melodyjnie śpiewać. Zdziwiłem się, bo zwykle zięby odlatują od nas we wrześniu lub październiku, zimują tylko nieliczne. Ale tu przecież szczególnie jesień, bardzo ciepła, szczególny rok, świerki i sosny zielone jak latem, kolorem soczystym, pełnym...

Usłyszałem kołatki nagonki i machinalnie poprawiłem strzelbę w rękach, obrzucając jednocześnie teren przed sobą uważniejszym spojrzeniem i natychmiast, z prawdziwą przyjemnością, uświadomiłem sobie, że zrobiłem to wszystko odruchowo, tak, jak doświadczony kierowca naciska hamulec — było więc jasne, że chociaż minęło lat dziesięć, stary nawyk, łowiecki nawyk, we mnie pozostał. Nie jest tak źle — pomyślałem i jeszcze raz przebiegłem wzrokiem młodniki, jałowce, świerki — w lewo i w prawo. Nic się nie działo, poza tym, że zięba przeniosła się na inne drzewo...

Jeden z członków zarządu nowego Koła zapytał mnie przy jakiej okazji:

— Proszę mi powiedzieć dlaczego, wracając do łowiectwa, nie wraca pan do starego Koła?

Poczułem się trochę tak, jakbym zdawał egzamin, albo jak mąż, który rozszedł się z żoną i którego obcy ludzie pytają o powody rozstania się. Ale, chociaż zaskoczony pytaniem, wyjaśniłem spokojnie, że w moim ostatnim Kole zakochany nie byłem. Nie do datem, że prawdopodobnie Koło we mnie również nie. Powiedziałem po prostu, że jak to często w życiu bywa, nie wszyscy ludzie są nam jednakowo mili. Prawo to obowiązuje również odwrotnie. Nie wracam do starego Koła, bo siedząc w nim moi starzy znajomi, z którymi miałem na pieńku. O co? Przeważnie o to, że nie byłem milejącym członkiem Koła i reagowałem na wykroczenia łowieckie. Mówiłem na przykład: nie kładź się na ziemi, a czekaj na zająca, który ma wyjść na ciebie, że wszedł do myśliwcu. Albo: jeżeli strzeliłeś do zająca ze względów humanitarnych, to nie zabieraj go koledze, bo prawo ostatniego strzału upoważnia cię do tego tylko słomkę w oku bliźniego, ale nie widzą belki w oku własnym. Miałem członkowi zarządu o tym wszystkim nie powiedziałem, ograniczyłem się do ogólnikowej odpowiedzi, a on o więcej nie pytał, bo polapał się już wtedy, że popełnił nieczyność...

Na prawo ode mnie z młodnika wyskoczył zając. Wykoczył i znieruchomiał na chwilę, stając słupka. Podniosłem strzelbę wyżej, obróciłem się trochę wygodniej i czekałem, co zrobi, bo na strzał w tej chwili było za daleko. Głupie to bo głupie, ale serce w piersi uderzało szybciej, mocniej, tak długo, jak długo zając nie pokicał w prawo, ginał mi z oczu. Po niedługiej chwili wyrzucił sasiad, ten, który niedawno kiwał mi ręką. Przyjdzie coś i do mnie — pocieszyłem się — słuchając teraz co trochę myśliwskiej palby, z prawej, z lewej, na flankach. Niezłe pędzenie, wcale niezłe, padnie chyba kilkanaście zający...

Padło w tym pędzeniu siedem kotów, a ja nawet nie wystreliliłem. Nie wiedziałem, że zostanę bohaterem następnego pędzenia.

Braliśmy pole przy lesie. Myśliwi stali na wiejskiej drodze (dlaczego nie na ścianie lasu), a ja ze swoim ósmym stanowiskiem gdzieś pośrodku linii strzelców. Wi-

bodajże jedynę koty) obserwują mnie bacznie. Szarak przybliżył się diabelnie szybko. O tym by strzelać domiotu nawet nie pomyślałem, bo przy strzale na sztych, suka byłaby w niebezpieczeństwie — puściłem go więc za linię i, mając pointerkę znów dziesięć metrów za kotem, wygarnąłem do niego. Wygarnąłem, a zając skoziłkował przepisowo, ginał w ogniu. Odetchnąłem z ulgą, bo przecież była to po trochu moja rehabilitacja — jednego spałałem fatalnie to prawda, ale ten drugi był popisowy. Kiedy jednak po skończonym pędzeniu podniosłem kota i niosłem go do samochodu, który transportował zwierzyne miałem na twarzy wypleki, niosłem bowiem zająca niedonoska, ważył nie więcej jak trzy kilogramy. Psiakrew, kiedy szedł z miotu wydawał mi się zupełnie dorosłym osobnikiem...

Polowanie zbliża się do końca. To pędzenie i może jeszcze jedno, najwyżej jedno, bo bór wyraźnie ciemnieje, otula się ciszą. Stoję znów na dobrym stanowisku, mam przed sobą młodniki, bogaty podszyt, tylko nie na mnie nie idzie. Jak dotąd, cała zdobycz to zając z polnego pędzenia. Nowy strzelec zajączka — powiedzą sobie — a jakiś dowcipniś poprawi, że strzelił pół zająca. Niech sobie mówią — pomyślałem i niespodziewanie przystąpił do zajączkiem rozweseliła mnie. Będzie co będzie — rzekłem sobie w duchu — po co z góry się martwić. Patrzyłem w bór, wdychałem go, czując równocześnie, że wyzwalam się z napięcia, z obaw, z tremy. Polowanie dobiega końca, a ja jestem w dobrej kondycji. Nie jestem nawet specjalnie zmęczony, chociaż to już dwunaste pędzenie. Na dobrą sprawę nie była mi potrzebna przerwa obiadowa — półgodzinna przerwa z poczęstunkiem dla naganaczy. Ładny zwyczaj mają w moim nowym Kole. Każdy z naganaczy otrzymuje pudełko konserwy z rybą lub mięsem i pajdę chleba. Pałaszują z apetytem, chociaż jedzenie jest zimne, ale trudno przecież w prymitywnych warunkach zwojować coś więcej...

Sygnał, by nagonka ruszyła wydał mi się w ciemniejszym borze głośniejszy, jakby natarczywy nawet. Znow machinalnie podniosłem strzelbę w rękach, uważnie wpatrzyłem się w bór, ale nic się przede mną nie działo...

Prezes Koła, bardzo przystojny, czterdziestoparoletni mężczyzna kilka dni temu przyjął mnie w swoim gabinecie. Usiadłem za stołkiem, w wygodnym fotelu i czekałem chwilę, bo prezes kończył rozmowę z jakimś oficerem. Kiedy skończył, a tamten wyszedł, prezes usiadł obok i uprzejmie zagali:

— Miko mi pana poznać. Witam nowego członka Koła Łowieckiego „Dzik”.

— Dziękuję panu pułkownikowi za przyjęcie. Będę chciał być

dobrym członkiem Koła — powiedziałem szczerze.

Odpowiadając potem na pytania z zakresu bezpieczeństwa na polowaniu, nie mogłem ułoić się od myśli, że ten egzamin urządzono specjalnie dla mnie. Dla „nowego”, po to, żeby go sprawdzić, żeby mieć większą pewność... Mają przecież takie prawo. Zdawałem egzamin łowiecki w Wojewódzkiej Radzie Polskiego Związku Łowieckiego. Egzamin egzaminem, a im wolno sprawdzić. Mogli mi to z pewnością powiedzieć — myślałem — a nie ubierać całej tej historii w ładne opowiadanko, że takiemu egzaminowi podlegają wszyscy członkowie Koła przed rozpoczęciem sezonu zbiorowych polowań. Po co to wspominać — skarciłem się znow — i tu nie miałeś racji, obowiązek sprawdzenia znajomości zasad bezpieczeństwa na polowaniu rzeczywiście dotyczył wszystkich członków...

Czyżby mi się zdawało?

Wpatrzyłem się w wysoki, rozłożysty jałowiec przed sobą, oddalony o jakieś piętnaście metrów i serce w mojej piersi zaczęło walić gwałtownie. Nie, nie myliłem się — zając, jałowcem był lis. Lis, na pewno lis. Co robi? Gdzie pójdzie? Poszedł w lewo. Wyskoczył zza jałowca i pokazał mi się w całej swej okazałości — wielki, piękny, rdzawożółty, sprężony w sobie, czujny. Czujny i szalony — patrzył jedynie w kierunku skąd słychać było nagonkę. Jak automat, jakby we śnie, podniosłem Merka do oka i po-



dobre zbudowany, cholernie silny, z wąsami fantazyjnie podkreślonymi do góry, był strzelcem — jeżeli wolno tu użyć wojskowego porównania — wyborowym. Nie mogłem mu się dość napatrzyć. Obserwując go w działaniu myśliwskim — miałem już kilka okazji — wyobrażałem sobie śmieszne sytuacje. Poluję właśnie z nim, indywidualnie, powiedzmy na bażanty. Idziemy obok siebie i w pewnej chwili z malinowych haszczy, jednocześnie startują dwa koguty. Otóż, wydawało mi się — ba — byłem o tym przekonany, że mój towarzysz strzeli, podniesie i zatoczy, zanim ja zdążyę wystrelić. Przesada, na pewno przesada, ale wydaje mi się, że to wyimaginowane porównanie w bardzo obrazowy sposób oddaje jego diabelną sprawność łowiecką...

Rozmyślając w ten sposób, spojrzałem w prawo. Linia strzelców biegła szerokim duktem, a w odległości trzydziestu paru metrów ode mnie stał oparty o drzewo mój sasiad w łowach. Kiedy spojrzałem w jego kierunku, jakby na to czekał, podniósł rękę do góry i otwarta dłoń

dzielił mnie wszyscy, wszyscy patrzyli na nowego, bo sprawy działały się jak na scenie w teatrze. Od nagonki, która dopiero co ruszyła, szedł zając, a za nim pies strażnika łowieckiego — źle wychowana, brązowa suka, pointerka. Kiedy zając, wyciągając skoki, ile tylko miał sił, znalazł się na moim przedpolu, będąc ode mnie na kulowy sztych (suka wciąż za nim w odległości dziesięciu metrów) strzeliłem dwa razy do miotu, pudlując kapitalnie na dobrą odległość. Zając wyszedł za linię i mój sasiad z lewej, pułkownik, zgasił go w pięknym stylu. Psiakrew — pomyślałem sobie — moi nowi koledzy mają prawo sądzić, że przyjeżdż do Koła rasowego pudlarza. Myśl była gorzka i nie nastrajała optymistycznie. Strażnik wrzeszczał z pola, by suka wróciła do nogi. Pointerka wróciła pod nagonkę. Wróciła, ale chyba tylko po to, by pogonić następnego szaraka. Szarak, jak na złość, walił wprost na mnie, pies wytrwale szedł za nim. Czekalem w napięciu, jak gra potoczy się dalej, pamiętając wciąż, że moi nowi koledzy choćby z braku zająca (w tym pędzeniu były to

ciągnął za spust. Huknęło donośnie, a lis znieruchomiał o dwadzieścia kroków przede mną. Nie opuściłem broni, nie doładowałem jej, trzymałem ją wciąż gotową do drugiego strzału, bo nie wierzyłem jeszcze, że lis jest mój... Leżał jednak nieruchomo, nie mogłem mieć już wątpliwości. Uświadamiając to sobie, poczułem, że drżą mi ręce, że dygota mi nogi. Okazały zając, pomykając z miotu o dziesięć kroków ode mnie, z lewej strony, patrzył na mnie zdziwiony, jakby miał pretensję, że do niego nie mierzę. Złożyłem się błyskawicznie i wygarnąłem z lewej lufy, już za linią strzelców, ale rozdygotany jeszcze po przygodzie z lisem, spudlowałem na czysto. Nie obeszło mnie to wiele, nie miałem do siebie żadnych pretensji, lis był bowiem mój...

Po skończonym pędzeniu odbierałem gratulacje. Koledzy — myśliwi patrzyli na mnie z uznaniem, z życzliwą aprobatą w oczach. Kiedy jeden z nich wpiął mi za sznurek kapelusza gałązkę świerku, uczulem wzruszony, że wśród tych ludzi nie jestem już „nowym”.

Kortez Anonim



„...ta rączka należy do pana, który pisał anonimy, ale przysłał dwa dobre krasnotulki i rączkę mu przywiązały mocnymi nitkami do biurki. Altså pan ów był marionetką i cała sprawa się rypla...”

Mówi się:

Sport to zdrowie.

Mówi się:

Sport to piękny bezinteresowny wysiłek człowieka. Wysiłek mierzony w metrach, sekundach, kilogramach, w ilości zdobytych punktów. Mierzony także zmęczeniem, monotonią treningowych godzin, wyrzeczeniem, często gorczą porażki.

I jeszcze:

Tradycje starożytnych olimpiad, walory wychowawcze, widowiskowość, czysta sportowa walka.

To wszystko prawda. Ale... Sport, jak każde wielkie widowisko musi mieć swoją publiczność, która dopinguje zawodnika do jeszcze większego wysiłku. Kibice rasowi i kulturalni (to słowo będzie nam jeszcze potrzebne) nie tylko zaciska kciuki. On utożsamia się niemal z dopingowanym przez siebie sportowcem, niemal fizycznie odczuwa jego sukces lub porażkę. Ale szkoda, że nie zawsze tacy kibice tworzą atmosferę na trybunach. Z różnych boisk i hal sportowych dochodzą wieści o chamskich wyczynach wi-

dzów: gdzieś obrzucono zawodników butelkami, gdzieś indziej grupy różnorodnych wyrostków przerywają walkę, a gdzieś jeszcze pobito sędziego. Do nagminnych zjawisk należy obrzucanie zawodników lub arbitrow niewybrednymi epitetami (nie będę przytaczać, bo posadzą mnie o instruktaż), albo krzyki (tu już przytoczę): „Zabij chama!”, na meczach bokserskich.

Tak jak w sprzężeniu zwrotnym — chamstwo na trybunach wyzwala chamstwo na boisku. I odwrotnie. Bywają więc i tacy spor-

towcy, którzy wypinają się na publiczność (i to ewidentnie, tak że nie trzeba całego przewodu sądowego dla ustalenia, wypiał się, czy nie?), bywają tacy, którzy walą przeciwnika kijem hokejowym, obrażają sędziego i kolegów. Bywają sportowcy...

Epilogi zbyt jaskrawych już przewinień, czy nawet afer, które z boiskiem nie mają nic wspólnego, rozgrywa się w sądzie. Choć nie zawsze wleści o tym docierają do opinii publicznej.

Epilogi niesportowych wykroczeń na boisku rozgrywają się natomiast przed komisjami dyscyplinarnymi. I choć te aplikują różne kary — o czym kibice nie zawsze dowiadują się — to niektórzy działacze szukają takich argumentów, aby umożliwić zawodnikowi powrót na boisko bez odbycia kary.

Przykładem może być tu sprawa Henryka Janiszewskiego z KS Naprzód — Janów. Janiszewski uderzył sędziego w twarz. 25 listopada 1972 roku, Wydział Gier i Dyscypliny PZHL nałożył na niego roczną dyskwalifikację. Dokładnie w trzy miesiące potem — 25 stycznia 1973 roku — Prezydium Zarządu PZHL (!) zawiesiło karę i już 27 stycznia 1973 roku H. Janiszewski jako kapitan (!!!) drużyny Naprzód grał w meczu z ŁKS. Jeden z działaczy PZHL powiedział:

— Janiszewski jest młodym zawodnikiem i niewątpliwie uczynił to w zapale. (Dla jasności: „TO” czytaj uderzenie w twarz sędziego — przyp. B. M.).

Jak nazwać taką postawę działacza sportowego? Czy tylko jednego? Nie. Bo jak nazwać dyskwalifikowanie piłkarzy w okresie przerwy zimowej, kiedy wiadomo, że w tym czasie nie ma oficjalnych spotkań? Jak nazwać postawę działacza z Polskiego Związku Bokserskiego, którego Zarządowi trzeba było przydzielić kuratora?

Przy takich postawach trudno się dziwić, że dyskwalifikacja nie jest tym czym być powinna — ostatecznym środkiem wychowawczym.

Obchodzenie się z niesportowymi często sportowcami jak z przysłowiową „świętą krową”, wpływa ujemnie na kształtowanie atmosfery wo-

kół sportu. Przywykliśmy. „Gwiazdy” się podziwia, „gwiazdom” się wybacz. „Gwiazd” nie wolno tykać — krytykować, że się o nich wyrażać, mieć o nich inne zdanie. Kto naruszy tabu, ten jest niemal wrogiem ludu.

Mamy przykład z własnego podwórka.

W 52 numerze „Odgłosów” z ubiegłego roku Andrzej Makowiecki opublikował „Wielki lament na wrednych kibiców”. Streszczać nie będę, krótko tylko — Makowiecki w sporze między kibicami Legii i Górnik Zabrze opowiedział się za Legią. Wielu kibiców Górnik nie mogło mu tego wybaczyć. Pisali listy (drukowane zresztą), odwiedzili autora w redakcji, katowicki „Sport”, wprawdzie podwu miesiącach, ale podjął z nim polemikę. Argumenty były rzeczowe, ton spokojny, wypowiedzi kulturalne.

Ale do redakcji napisał również pan Antonio Kortez. (Nazwisko i adres nie znane redakcji). I nie zrobiłabym panu Kortezowi zaszczytu wspominając o nim, gdyby nie drobny pozornie fakt. Już nawet w dyskusjach o sporcie posługujemy się anonimami. Jaka to broń i kto po nią sięga — mówić nie trzeba. Antonio Kortez prześlgnął jednak wszystkich dotychczasowych autorów anonimów. Bo choć napisał anonim do redakcji, to przecież nie odmówił sobie pogrzeb adresowanych bezpośrednio do autora: „Cierpliwości panie Makowiecki. A efekt swego wysiłku literackiego zobaczysz pan w przyszłości”. Możliwie zapisując sześć stron papieru podaniowego (w kratkę) pan Kortez jedną stronę napisał przez kalkę, dając nam w ten prosty, a subtelny sposób do zrozumienia, że kopię anonimowego listu wystął „tam gdzie trzeba”.

Ja osobiście nie widzę różnicy między chamstwem, które polega na rzucaniu butelką w sędziego, a pisaniami anonimów.

Był onegdaj Gall Anonim, który zasłużył się polskiemu piśmiennictwu. Kortez Anonim zniszczył polską sportową epistolografię. Czy tylko on jeden?

Mam propozycję. Przede wszystkim dla rasowych, kulturalnych kibiców. Ale nie tylko. Przestańmy wrzeszczeć być obojętni na objawy chamstwa. I tego w sporcie i tego w życiu. Wszędzie.

kalny. Ze w porównaniu z takimi na przykład Wiedeńskimi, czy z Basaalamami, członkami wspólnoty plebiennej Aga-Aga z archipelagu Mago-o, to zupełnie pnie drewniane. Nigdy nie miałem zaufania do jamników, starych na dodatek, nadmiernie wyrośniętych i tkniętych sklerozą. Są jednostronni. Jeżeli słyszą, to już nie widzą. Jeśli widzą, to nie słyszą nic... Siedzi obok mnie na ławce w poczekalni facet, wczorajszy widać, ale całkiem w kondycji jeszcze, choć nieco zmęczeniem przyprószone i ciągle rytm mi myli. Uparł się na jedną melodyjkę taką (ogólnie szanowaną zresztą), dodał parę taktów od siebie i własne słowa i ma piosenkę. Co jakiś czas, używając kynologicznej nomenklatury, „daje głos”:

„...na male piwo jeden krok
na małą wódkę jeden skok
Uuuuuaaani!!!...”

Ja brzdąkam sobie „Na sopkach Mandżurii”, a on mi z ulaniami... Ale facet funkcjonuje prawidłowo, bo na widok dziewczyny, która akurat weszła do poczekalni natychmiast zmienia repertuar:

„Dziewczyno, kochajcie nas
Dziewczyno, kochajcie nas
Spróbujcie zrozumieć nas
Ze tylko to się liczy w życiu”.

Dziewczyna nie rozumie. Zaciąga się papierosem „Warta” w cygarowej bibule. Arogancko. Powojenne pokolenie, niestety. Ogarnia mnie smutek, żal, tęsknota i rzewność. Powoli, ale skutecznie mnie ogarnia na dworcu w Kolszkach.

Kolszki przypominają Montefalco, miasto rozsiadłe dumnie na Górze Sokolej. Z tej góry, a więc i z Montefalco, widać całą dolinę Umbrii jak na dłoni, widać siedem umbryjskich miast: Spoleto, Trevi, Foligno, Spello, Assyż, Bevagnę i Perugia. Ani Kolszki, ani, tym bardziej, dworzec nie leżą na żadnej górze, ale z dworca w Kolszkach też widać to i owo. Podobnie, stwo z umbryjskim miastem nie na tym zresztą się koń-

„Patagonia odpowiada mojemu niezmiernemu smutkowi
Patagonia i podróż na morza południowe
Jestem w drodze
Zawsze byłem w drodze”
Tak, Błażejku, miałeś rację:
„Pociąg opada na kola
Pociąg zawsze opada na wszystkie kola”

Podobno koty spadają zawsze na cztery łapy. Tego nikt jeszcze nie sprawdził. A człowiek? Jak jest z opadaniem człowieka? (czy jak jest ze spadającym człowiekiem?)
Wracam do Łodzi.

GLOBTROTTER



Koledzy z budowy

Nie ma lepszej okazji do wypicia, jak spotkanie kolegów z budowy. Wytwarza się zaraz radosny nastrój i atawistyczna chęć czynów niepowtarzalnych. Kobiety i dzieci nigdy tego zresztą nie rozumieją. To jest męska sprawa.

Tak więc, kiedy do majstra Malinowskiego na budowę w Rzgowie przyjechał dawno niewidziany kolega z innej budowy, niejaki Kalinowski, powitanie odbyło się wedle dawnego zwyczaju. Ktoś tam skoczył na jednej nodze po pół litra i zakaskę i do fajeranta jakoś przetrwano.

Potem wszyscy wyjęli ręce z kieszeni, wsiedli do samochodu, z napisem: „przewóz pracowników”, i do Łodzi na kontynuację, tak pięknie rozpoczętego „wieczoru”. Po drodze doszli jednak do wniosku, że kierowca też człowiek i lubi sobie kielicha kropnąć. Kierowca lubi, a jakże, tylko wóz odstawił pod dom, z żoną i dziećmi się pożegna i ruszył z kolegami w bój. Kierowca widocznie zbyt długo w domu marudził, gdyż przyjaciele nie wytrzymali nerwowo, uruchomili wóz gwoździem i pojechali bez niego na swą męską przygodę.

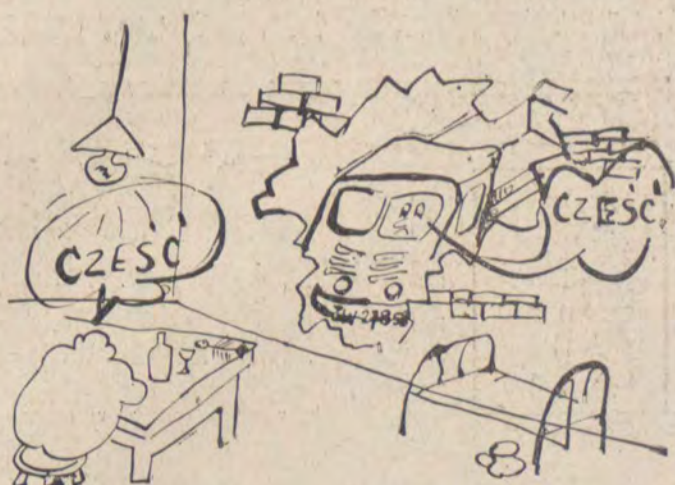
A propos — pojechali, to niedawno dwaj młodzi ludzie po pijanemu zabrali wóz z bazy, powozili się nim po mieście i odstawili niekiedy na swoje miejsce. Kiedy zaś stanęli przed sądem, sąd nie bardzo wiedział za co ich ukarać. Wóz odstawił na swoje miejsce, więc trudno mówić o kradzieży. Wypadku też żadnego nie spowodowali, niestety. W takich sytuacjach najlepiej skierować zapytanie do Sądu Najwyższego, a ten już coś tam wymyśli. Gdy jest tylko winny, jak powiada armeńskie przysłowie, to paragraf zawsze się znajdzie.

Spieszę zapewnić czytelników, że z naszymi kolegami z budowy sąd tego typu kłopotów nie miał. Miał inne.

Jak się jest milicjantem i ma się szczęście, to nie trzeba uganiać się za przestępcami po ciemnych uliczkach, oni sami wpadną w ręce. Przekonał się o tym osobiście sierżant Kowalski. Po służbie przyszedł do swego szwagra i teścia na towarzyską pogawędkę przy orzan-dzie, jak na pozytywnego bohatera przystało. Mężczyźni siedli przy stole, popijali herbatkę i od czasu do

czasu zerkali przez okno na cichą uliczkę. Widać było, że dom, w którym siedzieli, był bardzo mały i na dodatek drewniany. To, co mignęło za oknem, okazało się zaś samochodem produkowanym w Starachowicach, w skrócie zwanym „Star”. „Star” przeleciał spokojną uliczką jak strzała wypuszczona z łuku, jak błyskawica, jak tajfun „Betsy”, jak „Fiat 126p”.

W pewnym momencie usłyszałem głuchy huk — zeznał potem funkcjonariusz Kowalski — i spostrzegłem, że narożnik domu zaczyna się przesuwać w kierunku północnym. Wybiegłem szybko z mieszkania i zobaczyłem samochód w ogródku. Tylna kola opierały się o grządkę z rzodkiewką, przednie znajdowały się w izbie, maska samochodu dotykała telewizora marki „Beryl”, który w tym momencie bardzo śnieżył, z uszkodzonego natomiast aparatu radiowego dobywał się obolały głos spikera „Popołudnia z młodzieżą”. Z szoferki tymczasem wysiedli dwaj osobnicy i zaczęli uciekać w pole, w żyto. Pobiegłem za nimi, jeden uciekł, ale drugiego



Rys. K. Gruber

schwytałem i obezwładniłem. Teś i szwagier mi pomogli. Pierwszy z mężczyzn zgubił dokumenty, drugi kurtkę.

Funkcjonariusz MO spełnił, jak widzimy, swój obowiązek. Ja z kolei spełniłem swój, jeśli upewnię domyślnych czytelników, że tymi niefortunnymi kierowcami okazali się nasi starzy przyjaciele z budowy i ze Rzgowa. Przez pewien czas

czy. Montefalco było onegdaj kolebką umbryjskiego malarstwa, co stało się za sprawą ucznia Fra Angelico, niejakiego Benozzo Gozzoli, który wykonywał tam około 1450 r. wiele prac dla San Fortunato i San Francesco i fakt ten łączy Montefalco z Kolszkami. W Kolszkach bowiem mieszkał swego czasu niejaki Stanisław Strzemiński, również malarz, a raczej między innymi malarz, który przysłużył się wielce innemu z kolei miastu. Historia się powtarza (i to z godnym lepszej sprawy uporem) — Gozzoli był Florentyńczykiem i do Montefalco zawędrował przypadkiem, zupełnie tak samo, jak przypadkiem zawędrował do Kolszka Strzemiński. Różnica polega na tym, że obaj podróżowali inaczej. Gozzoli jechał konno żyzną doliną umbryjską a Strzemiński do Kolszka przyjechał pociągiem parowym od strony wschodniej. Mieszkał w Kolszkach, a w Łodzi stworzył Galerię Sztuki Nowoczesnej, poza tym wymyślił własną teorię sztuki, a w ogóle to urodził się w Mińsku na Białorusi. W Łodzi, na murze Szkoły Plastycznej wisiała tabliczka pamiątkowa, poświęcona Strzemińskiemu. W Kolszkach daremnie dopytywałem się o dom, w którym mieszkał onegdaj.

Piach zapomnienia zasypuje ślady. Nie wszystkie wydmy da się przekopać do końca. My, Polacy lubimy mity, legendy i mamy wrodzony wstręt do dokumentacji.

Dziś w Kolszkach jest nowy dworzec. Stoł Nowy Dworzec — tak trzeba by napisać. A był stary. Obok niego, nie żaden zabytek. Ale kawał historii miał w sobie. Kupę anegdot i dowcipów było na jego temat. Takie curiosum między Łodzią a Warszawą. Ciekawe, czy chociaż sfotografowano to, co zburzone?

Na dworcu w Kolszkach nikt się niczemu nie dziwi. Tu można wszystko, stąd ekspresy lecą w Europę i Azję.

Dziś nie wyjadę z Kolszka w świat, bo przeoczyłem swój ekspres. Chciałem pojechać do Patagonii.

KAROL BADZIAK

SUKCES I PRZEGRANA



Cotygodniowe obcowanie z „Chłopami” w ich filmowo-telewizyjnej replce trwało cały kwartał. Serial Jana Rybkowskiego i Ryszarda Kosińskiego pobili — zgodnie z sondażami opinii publicznej — wszelkie rekordy popularności w kraju, pozostawiając daleko w tyle nie tylko „Scigane”, „Bonanzę” i „Sagę rodu Forsyte’ów”, ale także „Stawkę większą niż życie” i „Czterech pancernych”.

JESIEŃ:

Jesień szła coraz głębsza. Białe dni wlewały się przez puste, ogłuchłe pola i przy- mierały w lasach coraz cięzsze, coraz biedsze — niby te światłe hostie w dogasających brząskach grzmotów... A co światło — wlewały się później: leniwie wydło szło na pasze, ciszej skrzypiały wierzby i ciszej brzmiały głosy przytłumione martwością i pustką pól, i ciszej, trwo- niej tętniło życie samo — a niekiedy, przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagie i pa- trzyli długo w dal omroczną, siną...

Można zaryzykować twier- dzenie, że mniej więcej co drugi Polak (odliczając nie- mowlet i część maluchów) był odbiorcą „Chłopów”. Przyczyn powodzenia tego serialu należałoby szukać bardziej w sferze socjologii czy psychologii społecznej, niż na płaszczyźnie artystycznej. Gdyby ograniczyć się wyłącznie do oceny estetycz- nej, znalazłoby się dość za- rzutów, by wpadła ona nie najlepiej. Ale nie od tego należy zacząć.

„Chłopi” Rybkowskiego-Ko- sińskiego, zgodnie z orygina-łem literackim, nie mają cha- rakteru sensacyjno-przygodo- wego. Fabuła jest dość nuda, a raczej rozmywa się w spło- cie wielu wątków, z których każdy musi być siłą rzeczy traktowany pobieżnie. Nie po- zwala to również na pogłę- bienie rysunku psychologicz- nego postaci. Nie eksponuje się nawet elementów melo- dramatycznych, decydujących

o panującej swego czasu w literaturze europejskiej mo- dzie na tzw. „Bauernroman” — powieść chłopską. Serial nie odwołuje się wreszcie do żadnych snobizmów, ani na- wet nie jest przyczynkiem do pobudzania narodowej dumy. Jakim więc udać się tropem w poszukiwaniu źródła suk- cesu? Pytanie nie jest łatwe, gdyż w każdym wielkim po- wodzeniu kryje się element tajemniczy, coś metafizyczne- go. Popróbujmy jednak odpo- wiedzieć. Otóż wydaje mi się, że szansa „Chłopów” w tele- wizji byłaby znikoma, gdyby ograniczono się do znacznie mniejszej ilości odcinków, np. do czterech, zgodnie z reymontowskim podziałem na pory roku.

Dowodem na to jest fakt, że „Chłopi” nie podbili tele- widowni wstępnym bojem. Nie! Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia! Począ- tkowe odcinki serialu budziły więcej zastrzeżeń niż aproba-

ty. Dyskutowaliśmy i podda- waliśmy w wątpliwość traf- ność obsady, wytykaliliśmy błędy adaptacji. Ale czas płynął, a wraz z nim działy się dziwne rzeczy.

W każdy niedzielny wieczór bohaterowie „Chłopów” pu- kali do drzwi naszych miesz- kań, wślizgiwali się do nich, stając się stopniowo gośćmi mile widzianymi, a później już nawet nie gośćmi. Kimś bliskim, dobrze znanym, może domownikami? I w tym tkwi chyba telegeniczność „Chło- pów” Rybkowskiego-Kosiń- skiego.

Powiedziałem, że nie było miłości od pierwszego wej- rzęcia. Jej miejsce zajęło przyzwyczajenie, jakiś psy- chiczny komfort, płynący z coraz lepszej znajomości bo- haterów, ich wzajemnych re- lacji, układów, napiętości i konfliktów. Myślę, że ulegli- my tej obiegającej nas co- dziennie, bardzo zwyczajnej i bardzo ludzkiej. Ulegliśmy czasem nawet żłł na siebie za przedwczesną rezygnację z wyższych wymagań artystycz- nych, za utratę zmysłu kry- tycznego, z którym zasiada- liśmy przed telewizorami w pierwszych tygodniach emisji „Chłopów”.

Czy należy zatem wytykać słabość, skoro się z nimi po- godziliśmy, akceptowaliśmy je en bloc, poddając się uro- kowi wieczorów wypełnio- nych kolejnymi odcinkami „Chłopów”? Zwykłych się przeleć nie sądzi. Krytycyzm może usprawie- dliwić tylko jedno: odczytanie na świeżo reymontowskiego o- ryginalu. Wówczas bowiem zwycięzca jest Reymont. W zestawieniu z powieścią se- rial telewizyjny przegrywa. Honorowa to przegrana w za-

pasach z przeciwnikiem tak znakomitym, ale przegrana.

Nie wydaje mi się, by rea- lizatorom udało się wiele do- brego dodać „Chłopom” od siebie. Natomiast lista strat poniesionych przy adaptacji jest znaczna. Każda adaptacja ekranowa wielkiej epiki u- boższa jest od oryginału o miąższ opisowy, o ową glebę, w której tkwią węzły fabu- larne i z której ciągną życio- dajne soki. W przypadku „Chłopów” jest to szczególnie dotkliwe, gdyż właśnie w warstwie opisowej dokonuje się wielka synteza, przetapia- nie tego co indywidualne, je- dnostkowych szlachetnych pragnień grzesznych uczyn- ków i spraw (powiedziałbym: dżiś) produkcyjnych — w jed- nolitą lawę polyskującą i roz- żarzoną Lawę, której na i- mię: życie.

W tym procesie rolę topni- ką spełnia przyroda, jej wspa- niały rytm zamknięty w ro- cznym cyklu, wyznaczający tempo życia wsi, dyktujący chronologię zajęć. Owa sekwen- cja pór roku (nieuchronna za czasów Reymonta, dziś zdaje się w niej coś rozprzeczającego) pozwała się wyprzedzać ludz- kim wycekiwaniom odmiany, ludzkim planom na przy- szłość. Akeja powieści Rey- monta nie mogła trwać ani dłużej ani krócej. Każdy dzień więcej ponad rok byłby powtórzeniem, każdy dzień mniej łamałby zamknięty za- rys cyklu.

Jest w reymontowskim ma-

W filmie brak wszechobec- ności natury, zatarciu ulega- ją i szcążkowo tylko oznaczone są pory roku. Nie- co cepelloowskie w konwencji jest ożywienie lipeckiego fol- kloru, pominięto natomiast mądrości ludowe tkwiące w przysłowia i porzekadłach, którymi gesto inkrustowana jest powieść, a także w klechdach i opowieściach snutych przez dziadów węd- rownych, zastępujących w tych czasach funkcje publi- katorów. To wszystko oznacza rezygnację realizatorów z szerszej symbolicznej mitycz- nej i archetypowej wymowy „Chłopów” na rzecz wyłuska-

TV

ła „O żołnierzu tulaczcu”, a „Faraona” opowiadaniem „Z legend dawnego Egiptu”. Można, ale po co? Zdarza się też w „Chło- pach”, że reżyser porzuca na moment przyjętą konwencję, by błysnąć tak zwaną nowo-

WIOSNA:

Zwiesna już szła całym światem wraz z tym plectwem, ciągnącym do łoskich gniazd, na wyższych miejscach podsy- chały role, wody opadły i ziemia się prawie prosiła o plugi, o nawozy i o to ziarno święte... Zawsze wsiadłszy po sąsiedztwach, kaj jeno okiem dosięgnąć, robili tak pilno, że całe dni, deszcz był czy pogoda, rozle- gaty się wesole przyspiewy i kukania, po polach błyskały plugi, ruchali się ludzie, konie rżały i wozy turkotały weso- ło, a jeno lipeckie role stały puste, ciche, zgola obumarłe i jako ten smętny żalotnie...

nej dosłowności i — jak mó- wilem — codzienności.

Ta codzienność podkreślona jest tradycyjna forma narra- cji ekranowej, tradycyjnym charakterem zdjęć filmowych autorstwa Marka Nowiekiego, spokojem, płynnością. Przyno- si to różne rezultaty. Dzięki

ZIMA:

Zima wciąż była sroga, choć zmienna jak rzadko; bywały takie mrozy, jakich i starsi nie pamiętali, to śniegi spadały ogromne, to znowu były całe tygodnie odwilży, że woda sta- la po rowach, a gdzieś tam i zagoni czerniał, to przy- chodziły takie wiejby, takie kurzawy, że światła nie dojrza... Zawsze w Lipcach szło swoim odwiecznym porządkiem, komu śmierć była naznaczona — umierał, komu radość — weso- lił się, komu bieda — wyrzekał, komu choroba — spowiadał się i czekał końca — i pchało się jakoś z Bożą pomocą, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, by się ino zwiesny doczekał albo czego, co komu przeznaczone.

lowidła przyrody, w zafascy- nowaniu jej determinizmem i wpiśwaniu losów ludzkich w rytm biologicznych proces- sów wegetacyjnych przesad- ność, afekcja brzmiąca dziś dla nas anachronicznie. Ale dzięki owemu kontekstowi udało się Reymontowi zamiar odpowiadający formatom po- wieściom „Emila” Zola, nie- zmienne trudny w realizacji — stworzenie kolektywnego bohatera. W obrysie tego bo- hatera gumują się czynniki elementarne, znośna się wz-ajemnie zalety i wady, nastę- puje obiektywizacja.

Tego, oczywiście, nie znaj- dziemy w serialu Rybkow- skiego-Kosińskiego. Natrafia- my natomiast na poszarpane wątki z których nie zawsze coś wynika. Na plan pierw- szy wysuwają się ostre kon- flikty majątkowe, grawitujące ku chciwości i skąpstwu. Bez- pardonowa walka o ziemię, o schodę, owe odrobki, wycigi i zapisy — to wszystko wyję- te jest z Reymonta, ale jak- kieś odarte z obudowy, w jakiej u niego występują. Znaidziemy na kartach po- wieści równie liczne przykła- dy ludzkiego współczucia, so- lidarności ludu wiejskiego, aktywnej pomocy w nie- szczęściu.

tej konwencji np. wyrażenie przedstawionemu został wątek walki chłopów lipeckich z dworem o wyrab lasu, znaj- dujący swą kulminację w bitwie z drwalami i służbą dworską. Natomiast patetycz- na scena śmierci Boryna, tak wstrząsająca w powieści, w serialu nie ustrzegła się przed cechami pewnej nie zamie- rzanej śmieszności.

Próby uzupełniania „Chło- pów” robią na ogół wrażenie zbezdnych. Czy tak bogatą strukturę powieści trzeba by- ło poszerzać o jedną akurat

czesnością. Chyba niepotrzeb- na była np. scena obnażania piersi Hanki przez Antka Bo- ryna w odcinku zatytułowa- nym „Powroty”. Po co „Chło- pom” schodzić do poziomu „Wzwanian” czy „Anatomii miłości”? Na szczęście takich potknięć jest niewiele.

Obsada „Chłopów” budziła z początku opory. Czy telewi- zyjny Boryna aby nie za leci- wy? Czy Jagna dość urodna? Czy Antek nie zbyt miasto- wy? Ale, jak wspominałem, aktorzy się wybroniili. Przeko- nali nas metodą homeopatycz- na do kreowania postaci. Wypełnili sobą miejsce w na- szej wyobraźni.

Gdy czytamy teraz „Chło- pów” (a właśnie to robie), widzę Władysława Hanę przy wzmiankach o Borynie, Jadwigę Chojnacką jako Do- minikową, Jagna ma twarz i figurę Emila Krakowskiego, Antkiem jest Ignacy Gogo- lewski, Kowal ma rysy Bro- nisława Pawlika, a trudno ni o inną Hankę, jak tylko Kry- styna Królówna. To duży suk- ces aktorów i prowadzącego ich reżysera.

Są i niedomagania aktor- skie. Pewien jakże typowy dla naszej kinematografii stereo- typ w obsadzeniu ról dugo- planowych. Ale nie wybrzy- dzajmy! Serial „Chłopi” głów- na swa siłę czerpie z aktor- stwa. A w sumie rzecz para- doksalna: tyle zarzutów, a

LATO:

A na świecie ciąglem prażyło, zaś czym bliżej ku zni- wom, tym jeszcze bardziej wzmagala się epikola, że już w dzień niesposób się było pokazać w polu, a noca też nie przynosiły ochłody, szły bowiem duszne i nagrzane, że na- wet w sadach nie można było wyspać z gorącą, prosto kie- ska wałda się na wies... Trapił się tym niemato, że smutnową nadzieją spoziera- jąc w każden zachód, czy nie idzie na odmianę, ale niebo wciąż było bez chmur i całe jakby w szklanej, białawej po- żodze...

nowe Reymonta pt. „Spra- wiedliwie?” Kierując się taką praktyką, filmowe „Popioły” należałoby „wzbogacić” nowo-

równocześnie uczucie zadowo- lenia i satysfakcji, że telewi- zyjni „Chłopi” jednak nie za- wiedli.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



COLT ARENA

„POJEDYNEK REWOL- WEROWCÓW” w reżyserii Lamonta Johnsona należy do tego nurtu westernów, które bądź dokonują rozrachunku z konwencjami w gatunku tym obowiązującymi, bądź więcej, widziane jako swoliste opo- wieści historyczne, o historii tej traktują. Nie trudno zau- ważyć, że na ekrany nasze o- statnio trafiają wyłącznie we- sterny tego właśnie nurtu, co wcale nie znaczy, że w świe- cie nie powstają już westerny „klasyczne”, choć niewątpli- wie ich „złote lata” na razie mamy za sobą. Oglądany ostatnio, szokujący „Niebieski żołnierz” przywołuje zdarzenie historyczne, o którym uczą, w

inny nieco sposób, w amery- kańskich szkołach, omawiany „Pojedynek rewolwerowców” bierze na warsztat sam mit westernowy, który niewątpli- wie jest również częścią sa- mej historii Starego Zachodu Ameryki.

W informacjach o filmie od- naleźć można wiadomość, że „Pojedynek rewolwerowców” był finansowany przez jeden z najzamożniejszych szcze- pów indiańskich w Stanach Zje- dnoczonych: Apaczów — Jica- rille, co całej tej historii przydało nieco pikanterii, nie tylko reklamowej. Za pienią- dze Indian przypomina się biały, jak to w ich wielkiej legendzie o zdobyciu Zachodu nie wszystko jest tak piękne. Indiani udział w tym fil- mie, nie na pieniądzech, sa-

mych się kończy, warto może zwrócić uwagę na fakt, nam niewiele mówiący, że jednego z rewolwerowców gra pół-In- dianin Johnny Cash, bardzo popularny w Stanach wyko- nawca i kompozytor ludowych pieśni indiańskich i ballad kowbojskich (jedną z nich słyszymy w filmie), a publicz- ność wypełniającą arenę w Meksyku stanowią Indianie wspomnianego szczepu. Tyle ciekawostek związanych z powstaniem filmu, w którym rolę przeciwnika Johnny Cash gra aktor, którego na- zwisko z westernem niejedną raz już wiązaliśmy, znakomity jak zwykle Kirk Douglas.

W samo południe, do małe- go miasteczka w pobliżu gra- nicy z Meksykiem przybywa znany rewolwerowiec Abe

Cross. Przyjeżdża w celach w pełni „pokojuowych” — chce wyleczyć konia, sprzedać w banku te trochę złota, które udało mu się na jakiejś niedz- nej drodze zebrać oraz nieco odpocząć po trudach pracy i podróży. W miasteczku żyje z żoną i synkiem, pędząc życie spokojne i osiadłe, choć mało dostatnie, inny słynny rewol- werowiec, Will Tenneray. Obaj dawno już pożegnali się ze swym zawodem, obaj już nie strzelają, mają tego dość. I teraz rozpoczyna się historia w samym pomysłcie znakomita, a w swej prawdziwej przerażają- ca. Pod wpływem opinii pu- blicznej, jej presji, dochodzi do krwawego między dwoma zawodowcami pojedynku, któ- rego brutalność spotęgowana jest okolicznościami. To lu- dzie uświadomili Tenneray’emu, że jeden strzał może go u- czynić człowiekiem bogatym na tyle, że kupi wymarzone rancho, na którym osiadł z żoną i synkiem. Namawia więc Crossa do spotkania, w którym jeden z nich, ten szybszy, ma tę wielką szansę.

Trzeba przyznać, że opo- wieść o dniach pojedynku po- przedzających reżyser, dozu-

jąc napięcie, prowadzi znako- mienie. Jednak większe wra- żenie uzyskuje, charakteryzując tłum kibiców żadnych sensa- cji i tych bezpośrednio wy- nikami pojedynku zaintereso- wanych, całą atmosferą wokół, tego zdarzenia. Nie jest to jednak pojedynek, do którego western nas przyzwyczail. Niedaleko miasteczka, już na terenie Meksyku, znajduje się arena, na której odbywają się walki byków — na tej arenie pewnej niedzieli staną na przeciw siebie dwaj ludzie, owi z zawodu rewolwerowcy. Bywało w westernie tak, iż rewolwerowcy uosabiali zbrodnie, było tak, że repre- zentowali prawo i sprawiedli- wość, choć wtedy rewolwe- rowcami ich nie nazywano. Tym razem z umiejętności szych uczynili byznes, krwa- wy, z najwyższą stawką, jaka jest życie jednego z nich, ale przecież byznes. Na widowi- sko to sprzedawano bilety, z których dochód stanowi owa szansę dla jednego.

Śmierć jako rzemiosło, to już było nie raz, śmierć jako byznes zorganizowany poka- zano nam, w ten sposób, w westernie pierwszy raz. Kul-

minacyjna scena filmu, krót- ka, niemal błyskawiczna, po- intuje grozę i absurd całej tej sprawy niezwykle mocno. Od- jazd zwycięzcy, na którego, wiadomo, że czekać w innych miasteczkach będą teraz na- stępni amatorzy walki na are- nie, jest ciężki w klimacie, to oczywiście. Zwycięstwo było straszne — stanął naprzeciw siebie ludzie, którzy zdążyli się zaprzyjaźnić i którym ża- dza pieniędzy, nawet nie w nich samych zrodzona, kazała na muszce colta położyć rzecz najcenniejszą. My zaś byliśmy świadkami początku reakcji łańcuchowej.

Czy tylko w okolicznościach tak niesamowitych jesteśmy świadkami walki na śmierć i życie dwu przeciwników — bliźniów, którym kibicuje tłum żądny sensacji? Cóż z tego, że tłum ten opuszcza arenę z niesmakiem, w na- stępną niedzielę na nią po- wróci. Wydaje mi się, że „Po- jedynek rewolwerowców” nie tylko westernowych mitów dotyczy.

EWA NURCZYŃSKA

Ognia do „Concorde“!

DZIELI ICH PIĘTNASTOLETNIĄ RÓŻNICA WIEKU I ODLEGŁOŚCI JEDENASTU TYSIĘCY KILOMETRÓW. NIE PRZESZKODZIŁO TO JEDNAK, ŻE 66-LETNI PREZYDENT FRANCUSKIEJ KOMPANII PRZEMYSŁU LOTNICZEGO „AEROSPATIALE“, HENRI ZIEGLER, I 51-LETNI THORTON WILSON, PREZYDENT AMERYKANSKIEJ KOMPANII „BOEING“ SPOTKALI SIĘ W WALCE WRĘCZ NA ŚMIERĆ I ŻYCIE. STAWKĄ W TEJ WALCE SĄ ZAMÓWIENIA NAJWIĘKSZYCH MIĘDZYNARODOWYCH TOWARZYSTW KOMUNIKACJI LOTNICZEJ, OBRACAJĄCYCH MILIARDAMI DOLARÓW.

Od wyniku tej walki zależy przyszłość przemysłu lotniczego krajów Wspólnego Rynku, szansa zachodniej Europy na zajęcie godnego jej miejsca w transporcie powietrznym.

Z jednej strony potężny przemysł lotniczy USA — 950 tysięcy robotników i urzędników — na czele ze swym leaderem — gigantem „Boeingiem“, którego siedziba, w szarobiałym 4-piętrowym gmachu, znajduje się w Seattle. To oczywiście niegodne giganta, ale nad wejściem do gmachu łopocze amerykańska flaga państwowa, a obok — biała z literą „E“ (znak najwyższej jakości), przyznawana przez Waszyngton przedsiębiorstwom, które „podnoszą prestiż USA“ w świecie.

Ofensywną bronią tego imperium jest przede wszystkim „Boeing 747“, transkontynentalny samolot pasażerski na 350—570 miejsc, oraz „Boeing 727“, który może konkurować z francuską „Caravelle“ i angielskim „Tridentem“. Strategia „Boeinga“ nie różni się od strategii innych kompanii lotniczych USA — „Douglasa“ i „Lockheeda“: masowe środki transportu po niewysokiej cenie. Jego potęgą jest jeszcze ogromna: do pierwszego stycznia 1973 roku „Boeing“ otrzymał zamówienia na 628 samolotów. Jednakże wielki „Boeing“ przeżywa bezprecedensowy kry-

zys: w Seattle zanosi się na wyprodukowanie zaledwie 108 samolotów „Boeing 727“, czyli trzykrotnie mniej, niż w poprzednich latach, oraz 33 „Boeingi 747“. A przecież zakłady liczą na otrzymanie zamówień na sto maszyn rocznie. 60 tysięcy robotników i urzędników tej firmy zwolniono z pracy. Imperium drży w posadach.

Z drugiej strony — stara Europa, Europa Louisa Bleriot i Charlesa Bregueta, w której 66 lat temu rodziło się lotnictwo. Najbardziej wybitne osiągnięcia jej współczesnej produkcji lotniczej, to ponaddwukrotnie większy francusko-brytyjski „Concorde“, dwusilnikowy „Aerobus“, produkowany obecnie we Francji, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii oraz Holandii i wreszcie „Mercure“, samolot niewielkiego zasięgu, produkowany przez Francuza Marcela Dassou. Na te wszystkie modele przypada ogółem 111 zamówień rocznie. Pod względem rozwiązań technicznych nie mają one sobie równych w Stanach Zjednoczonych. Jednakże handlowa przyszłość zachodnioeuropejskiej produkcji lotniczej jest zagrożona, ponieważ dla jej embargo amerykańskich banków i nacisk ze strony Białego Domu.

Jeszcze dziesięć lat temu USA i zachodnia Europa żyły w przykładowej zgodzie. Przestrzegano warunków, które pozwalały na czasową normalizację stosunków. Stany Zjednoczone utrzymywały monopol na produkcję samolotów transkontynentalnych oraz samolotów nie-

wielkiego zasięgu. Zachodnia Europa, wykorzystując „luki“, pozostawione przez USA, zadowalała się niektórymi osiągnięciami, jak na przykład samolotami typu „Viking“ i „Fokker-Friendship“ — w erze samolotów silnikowych oraz „Caravelle“ i „Tridentami“ w obecnej erze współczesnych samolotów odrzutowych.

TRUDNY PORÓD

Kością niezgody stało się porozumienie francusko-brytyjskie, dotyczące wspólnej produkcji odrzutowego samolotu typu „Concorde“. Gdy w 1962 roku przedstawiciele rządów: francuskiego i brytyjskiego podpisali w Londynie akt urodzenia tego ponaddwukrotnie większego samolotu pasażerskiego, Amerykanie nie chcieli w to uwierzyć. Akurat w tym czasie największe zaocenne galeje przemysłu lotniczego były nastawione na badania kosmiczne. Dopiero w 1965 roku „Boeing“ postanowił skonstruować samolot, który by mógł konkurować z „Concorde“.

Zaraz po rozpoczęciu prac nad konstrukcją ponaddwukrotnie większego samolotu na 300 miejsc, latającego z szybkością 2.800 km na godzinę (model SST), konstruktorzy kompanii „Boeing“ natrafili na poważne trudności: stopy niektórych elementów okazały się mało odporne na temperatury rzędu 350°, do jakich nagrzewają się one podczas lotu w stratosferze. Na rozwiązanie tego problemu wydali Amerykanie ponad 800 milionów dolarów!

Wreszcie światło dzienne ujrzał amerykański prototyp o zmiennej geometrii skrzydeł, ruchomej, nosowej części kadłuba, a nawet z kapturowaną kabiną dla pilotów. Jednak konsekwencje tego porodu były opłakane: potworek nie mógł udźwignąć typu pasażerów co „Concorde“...

Była to prawdziwa klęska, tym bardziej, że Kongres USA odmówił przyznania kredytów na projekt SST, mimo próśb Nixona. Od tego czasu liderzy a-

merykańskiego przemysłu lotniczego poculi się zagrożeni w swojej, wydawałoby się, niezachwianej pozycji. Próby techniczne „Concorde“ przebiegały szybko i pomyślnie i stało się jasne, że już w niedługim czasie zachodnia Europa będzie dysponować samolotem, który nie znajdzie konkurenta w Stanach Zjednoczonych.

„KAMPANIA NAUKOWA“

Amerykańskie kompanie otworzyły więc ogień do „Concorde“, inspirując kampanię „naukową“, dyskredytującą francusko-brytyjski samolot pasażerski. USA przeszły też i do bardziej bezpośrednich akcji, proponując kompaniom transportu lotniczego Argentyny, Brazylii i skandynawskiej SAS odkupienie od nich wszystkich francuskich samolotów „Caravelle“, płacąc za nie jak za nowe. W zamian kompanie miały się zobowiązać do kupowania, w przeciągu dziesięciu lat, wyłącznie amerykańskich samolotów wszystkich typów: transportowców średniego zasięgu, samolotów transkontynentalnych i „przyszłościowych“ ponaddwukrotnie większych samolotów, wszystkie na bieżąco korzystnych warunkach: ośmioletni kredyt z niezwykle niskim oprocentowaniem. Oznaczało to zbójcki napad na całą zachodnioeuropejską produkcję lotniczą.

Manewr amerykańskich firm ujawnił się z całą ostrością w dniu 23 listopada 1972 roku. Tego dnia w paryskiej siedzibie „Aerospatiale“ obchodzono 10-lecie programu produkcji „Concorde“. Jednakże jubileusz świętowano nader skromnie, jako że w przeciągu owych dziesięciu lat, od momentu swych urodzin, samolot, „przypadł do gustu“ tylko dwóm kompaniom: „Air France“ i angielskiej BOEING. Zamówiły one 9 samolotów. Tymczasem jedna z największych amerykańskich kompanii pasażerskich linii lotniczych, która wcześniej zarezerwowała dla siebie 6 samolotów „Concorde“, nagle zamówienie odwołała.

Tegoż dnia, 23 listopada, dalekopis wystukał informację, oznaczającą wypowiedzenie wojny. Amerykański bank eksportowo-importowy, który trzyma w kieszeni liczne kompanie lotnicze USA, złożył oświadczenie, iż nie udzieli kredytów na zakup nie tylko „Concorde“, ale także i drugiego samo-

lotu produkcji „Aerospatiale“ — „Aerobusa“, mimo, iż są one zaopatrzone w amerykańskie silniki odrzutowe firmy „General Electric“, które stanowią 20 proc. kosztów całego samolotu. Nie było wątpliwości, że finansowe kółła Stanów Zjednoczonych postanowiły zamknąć drogę zachodnioeuropejskim samolotom pasażerskim i że działają one z inspiracji kompanii przemysłu lotniczego. Kompanie są zaniepokojone, że po czterdziestu latach nieomal absolutnego panowania na rynku lotniczym, stanęły nagle w obliczu znakomych osiągnięć technicznych zachodnioeuropejskiego przemysłu lotniczego.

GLOBALNY KONFLIKT

Prezydent „Aerospatiale“, Henri Ziegler, przerwał urlop i natychmiast powrócił do Paryża. Oczekiwał na niego nie tylko telegram, dotyczący posunięć amery-



HENRI ZIEGLER: „To jest globalny konflikt...“

kańskiego banku eksportowo-importowego, ale także i inne, niemniej wymowne dokumenty, głównie zaś tajny raport, skierowany przez kompanię „Boeing“ do urzędu cywilnego lotnictwa USA. „Do 1983 roku — mówi się w tym raporcie — świat będzie żądał wielomiejscowych samolotów na fantastyczną sumę 390 miliardów dolarów. Jeżeli

amerykański przemysł lotniczy będzie jedynym dostawcą tych samolotów, to liczba pracowników, zatrudnionych w przemyśle lotniczym USA, zwiększy się z 950 tys. do półtora miliona“.

Na biurku Zieglera znalazł się także biuletyn informacyjny kompanii „Lockheed Aircraft Corporation“.

Na jednej z fotografii, zamieszczonych w biuletynie, widniał dwusilnikowy odrzutowy samolot „Threestar“, uderzający podobny do francuskiego „Aerobusa“. Wydawcy informatora wyraźnie dawali do zrozumienia, iż zachodnioeuropejski samolot jest kopią amerykańskiego... I wreszcie, w telegramie z Tokio informowano o możliwej umowie kompanii „Boeing“ z Japonią w sprawie produkcji dwusilnikowego odrzutowego transportowca średniego zasięgu... tańszego od francuskiego „Aerobusa“.

Sytuacja jest wyjątkowo trudna. Amerykańskie kompanie nie tylko wezwały na pomoc banki, ale zażądały jeszcze od swego rządu wywarcia odpowiedniego nacisku politycznego na kompanie pasażerskich linii lotniczych i na kraje, które by ewentualnie chciały nabyć samoloty zachodnioeuropejskie. Jest to bezpośrednia groźba zdławienia przemysłu lotniczego krajów Wspólnego Rynku.

Obecnie „Aerospatiale“ postanawia zwrócić się do rady ministrów Wspólnego Rynku z prośbą o rozpatrzenie opieki nad zachodnioeuropejskim przemysłem lotniczym. Ziegler rozumie oczywiście, że tym samym idzie na globalny konflikt. Ale od wyników tej walki zależy przyszłość samolotów „Concorde“, „Aerobus“ i ogromnego rynku śmigłowców. Jeśli „Aerospatiale“ dozna porażki, jeśli nie uda się jej sprzedać do 1980 roku od 150 do 200 samolotów typu „Concorde“, 350 „Aerobus“, i jeśli Dassou ze swej strony nie zgoda sprzedać 250—300 samolotów typu „Mercure“, zachodnioeuropejskie fabryki samolotów będą musiały zrezygnować ze swych ambitnych zamierzeń.

Przegrana spowoduje zamknięcie fabryk, zwolnienie z pracy około 400 tysięcy robotników i wysokokwalifikowanych pracowników inżynieryjno-technicznych. Europa znów zostanie odsunięta na drugi plan.

Oprac. J. CZECH

„NANA“

Przedstawił ją na obrazie gdy przed lustrem szminkuje sobie małe usta. Stoi lekko wygięta, w pozie znanej z płótna CARPACCIA „KURTYZANY“. Dzięki temu wyginięciu kregosłupa wydatnia się jej „italia osy“, co w dziewiętnastym wieku było m. in. idealnym kobiecym pięknem. W pantofołkach na wysokim obcasie, w białej, zdobionej falbaneczkami muslinowej halce, w aksamitowym niebieskim gorsecie patrzy na nas ze środka obrazu ciemnymi, okrągłymi oczyma. Młoda, o bujnych kształtach, wdzięczna w sylwetce, kokietująca niemal niewidocznym, leciutkim uśmiechem, obrócona tyłem do godnego pana w cylindrze, wygląda jakby miała się do niego za chwilę odwrócić, gdy tymczasem spogląda jeszcze na nas. Za moment może już coś powie do owego pana, odezwie się przemiłnie, może skinie ręką. Pójdą razem na wesołą kolację do któregoś z paryskich lokali. Starszy pan w wizerunkowym stroju, w cylindrze, z wąsami opadającymi w dół, niech chwilę poczeka, Nana zaraz będzie do wyjścia gotowa.

Nana. Nana dziewczyna z półświatka, kochanka, moźnych tego świata, „Nana“ — dzieło Edwarda Maneta. „Nana“ — bohaterka powieści pod tymże tytułem Emila Zola i filmu nakręconego na podstawie tej książki.

Kiedy Edward Manet zaczął malować obraz, który nazwał potem „Nana“, był rok 1877 (niektórzy twierdzą, że był to koniec roku 1876) Zola pisał swój ołbrzymi, dwudziestotomowy cykl powieściowy

pt. „Rougon-Macquartowie. Naturalna i społeczna historia pewnej rodziny z Drugiego Cesarstwa“. Powieść „Nana“, należąca do tego cyklu ukazała się po raz pierwszy w druku w jednym z czasopism paryskich w roku 1879, a więc w dwa lata później nim Manet rozpoczął pracę nad swą „Nana“. W formie książkowej powieść Zola ukazała się dopiero w roku 1880. 50.000 jej egzemplarzy zostało rozchwytych w przeciągu za-

ledwie kilku tygodni, co na ówczesne czasy było zjawiskiem wyjątkowym.

Manet i Zola byli przyjaciółmi. Manet podziwiał pisarstwo Zola, namalował jego portret, Zola zaś cenił i szanował malarstwo Maneta, a kopia manetowskiej „Olimpii“, obrazu, który tyle zgryzot przysporzył początkowo malarzowi, wisiała nad biurkiem pisarza. Tak więc Manet mógł znać od samego Zola historię powieściowej bohaterki, Nany, przedwcześnie dojrzałej córki pracowni i jej kochanki. Nana Zola, pisarza, który tak drapieżnie odsłaniał mechanizmy społeczeństwa burżuazycznego, jest ofiarą tegoż społeczeństwa, ale równocześnie wcielaniem jego zła, uwodzieleńską siłą zniszczenia („a cała armia mężczyzn leżała zmiażdżona u jej stóp“). Nana jest zarazem mordczynią i mordowaną, ona uwodzi, ale i sama jest uwodzona. Powieść Zola znana była najpierw w odcinkach gazetowych.

Kiedy Manet posyła w roku 1877 swą „Nana“ na Salon, jury odrzuca jego obraz. Nie raz już odrzucono prace tego artysty. Zrywał on bowiem w sposób śmiały z dotychczasowym malarstwem tradycyjnym i był jednym z tych, którzy zapoczątkowali nowy, a ówczesne czasy śmiały kierunek zwany następnie impresjonizmem. Tym razem jednak powód odrzucenia był

szczególny. Członkom jury obraz Maneta wydał się... nieprzystojny. Akt — owszem. Jury, krytycy i widzowie przyzwyczajeni byli do wizerunków nagich kobiet. Ale w malarstwie dotychczasowym naga kobieta występowała w scenach klasycznych, alegorycznych lub symbolicznych. Nie to wrzawy zrobiło „Śniadanie na trawie“ Maneta m. in. dlatego właśnie, że malarz ukazał nie nagą boginię, nie wróżkę, nie symbol, nie alegorię, ale zwykłą, ładną nagą kobietę w towarzystwie dwóch ubranych współczesnie jejomeściów w scenie z codziennego życia. Widok „Nany“, dziewczyny w dezabilu wywołuje zgorszenie. Manet jest wściekły. Jury Salonu nie chce żeby oglądali jego „Nana“? Wszyscy ją obejrzą! I wystawia obraz w witrynie jednej z galerii na bulwarze des Capucines. Wywołuje to skandal. Wrogowie Maneta podsycają nastroje tłocznych się przed witryną ludzi. Kto widział malowaną kobietę, i to o bujnych kształtach, w bieleńnię? Podniecony tłum świętoszków omal nie wybija szyby. Ale „Nana“ staje się dzięki temu popularna.

Wkrótce imię to stanie się niemal symbolem kobiety z półświatka, a kiedy po wielu latach, w naszych już czasach, rzeźbiarka Niki de St. Phalles tworzyć będzie swe seksualne kukły-kobiety o małych głów-

kach i balonistycznych kształtach nazywie je „Nany“.

Czy to jednak bohaterka powieści Zola była natchnieniem Maneta dla portretu Nany? Czy może właśnie to manetowska Nana inspirowała Zola?

W owym czasie Edward Manet, który zawsze lubił kobiety o nie najlepszej reputacji, zawarł bliższą znajomość z Méry Laurent, kochanką bogatego Amerykanina, doktora Thomasa W. Evansa, dawnego dentysty Napoleona III i cesarskiego dworu.

Méry śliczna, o niebieskich oczach, duża i pulchniutka, co było bardzo w owym czasie cenione przez mężczyzn, zachwyciła się pewnego razu płótnem Maneta. Malarz ujęty tym niezmiernie i olśniony jej urodą odwiedza Méry w jej buduarze, spędza z nią noc w lokalach. Kiedyś gdy oboje wychodzą na miasto, spotyka ich dr Evans. Na szczęście skończyło się jedynie na tym, że dentysta dąsał się na swą kochankę przez trzy dni.

Czy to nie własne przygody miłosne natchnęły Maneta do namalowania „Nany“, kochanki bogatego mężczyzny. Ów mężczyzna czeka w jej buduarze, w cylindrze, w wieczorowym stroju, gotowy do wyjścia. Ona kończy swa toaletę.

Jednak to nie Méry będzie pozowała na obrazie. Prawdopodobnie na to nie pozwoliłaby jej doktor Evans. Manet wyszukuje inną damę, Cytrynkę. Naprawdę nazywała się Henrietta Hauser i była kochanką księcia d'Orange. Tak więc to Cytrynka zostanie już na zawsze „Nana“, utrwalona na obrazie Maneta, w zalotnym dezabilu, patrząca śmiało przed siebie z tą pewnością jaką daje poczucie urody i władzy nad mężczyzną.

Ostatnio obraz Maneta „Nana“, własność hamburskiej Kunsthalle stał się ośrodkiem i tematem specjalnej wystawy zatytułowanej: „Nana“ — mity i rzeczywistość. Obraz zawieszono w centralnym miejscu wśród ścisłej lub bardziej luźnej, związanych z nim tematycznie eksponatów. Znalazły się tu rysunki, fotografie, obrazy, ilustracje z tygodników, a nawet sceny z komiksów — dzieła od XV wieku, aż po nasze stulecie, dobrane w ten sposób by odpowiadały w treści z obrazem „Nana“. Większość tych eksponatów to reprodukcje fotograficzne. „Nana“ jest bowiem jednym z tych obrazów, których siła ekspresji budzi chęć do rozważań artystycznych, filozoficznych, obyczajowych i społecznych.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECIECZOSĆ

GDYBY NIE BYŁO RADIA...

Postęp techniczny a przemiany ludzkiego myślenia — oto problem jak najbardziej współczesny, który jest jednocześnie zagadnieniem historycznym, skoro nie tylko nasze pokolenie musiało się z nim w własnym zakresie uporać. Społeczne, nie techniczne tylko, dzieje narodziły polskiej radiofonii dostarczając tu kapitalnego historycznego przykładu. Jakże dziś trudno wyobrazić sobie brak radia w normalnie funkcjonującym, nowoczesnym społeczeństwie! A przecież jeszcze niedawno, co potwierdzają badania historyczne, nierównie trudniej było wyobrazić sobie ogrom społecznych skutków, jakie pociągnął za sobą wynalazek radia. Konia z rzędem temu, kto wskaże dziś jakiegokolwiek rząd, w jakimkolwiek zakątku kuli ziemskiej, który by nie przywiązywał ogromnej wagi do własnej radiofonii jako potężnego instrumentu oddziaływania na społeczeństwo! A przecież tak niedawno, po pierwszej wojnie światowej, w kraju który wprawdzie nie należał do najbardziej rozwiniętych, ale też i nie

znajdował się w ogonie cywilizacji ludzkiej, bo w Polsce, ówczesne władze państwowe traktowały tworzące się Polskie Radio jedynie jako przedsięwzięcie o charakterze komercyjnym, nie zaś instytucję oświatową i propagandową.

Jeszcze w okresie zamachu majowego żadna ze stron nie uczyniła nic „aby wykorzystać radio w charakterze środka informacji lub też środka łączności z organami administracji terenowej czy też oddziałami wojskowymi. Żadna ze stron walczących nie zadawała sobie trudu, ażeby zająć, zabezpieczyć lub zniszczyć rozgłośnie (na Kredytowej) lub radiostację (na Mokotowie przy ul. Narbutta). Radio potraktowano jako niepoważne urządzenie rozrywkowe, które nie ma nic do roboty w zamachu stanu”. Odpowiedzialny za łączność oficer z otoczenia J. Piłsudskiego zapytany po latach przez historyka radia, M. J. Kwiatkowskiego, dlaczego zamachowcy nie zajęli Radia, powiedział z głębokim zastanowieniem: „właśnie. Dlaczego?” „Autor odnosi

wrażenie — komentuje M. J. Kwiatkowski — że nikomu po prostu nie przyszło do głowy, że takie niepoważne urządzenie może spełnić ważną rolę polityczną”.

A dzisiaj? Nawet niebyłoby uważana lektura codziennej prasy wskazuje nam, że opóźnianie rozgłośni radiowych jest pierwszą czynnością podejmowaną przez organizatorów wszelkich zamachów stanu, nawet w najodleglejszych krajach Afryki czy Azji.

Wydawałoby się, że już doświadczenia I Wojny Światowej winny były w sposób jednoznaczny przesądzić sprawę znaczenia środków radiokomunikacyjnych w wojsku, zwłaszcza w warunkach wojennych. Tymczasem jeszcze w 1927 r. ówczesny inspektor armii gen. A. Osiecki oświadczył na łamach prasy, że „nie widzi możliwości zastosowania radia w wojnie. Radiodespesy, radiokomunikaty, radiorozkazy nie będą mogły być użyte w czasie operacji wojennych z obawy przed możliwością odcyfrowania przez nieprzyjaciela”.

Dobrze, że nie wszyscy tak samo wówczas myśleli. Zastępca szefa Sztabu Generalnego płk., późniejszy gen. T. Kutrzeba pisał w tym samym roku:

„Obronę państwa przygotowuje się w czasie pokoju w najrozmaitszych dziedzinach. Jedną z nich jest urobinie umysłów i nastrojów ludności powoływanej pod broń oraz ludności, pozostającej przy pokojowych warunkach pracy. W przededniu

walki czynnej, gdy zamiast karabinów żołnierzy mówią pióra dyplomatów, wrogi nam radia starać się mogą zalać nas słowem defetyzmu, zwątpienia, mogą naszej ludności — szczególnie obcojęzycznej — przedstawić stan rzeczy w świetle kłamliwym, agitacyjnym. W tej „wojnie radiowej” musimy być odporni, musimy móc zneutralizować akcję wroga przez radiofoniczne oddziaływanie na własne społeczeństwo w sposób zgodny z interesem państwowym”.

Zaskakują dzisiejszego czytelnika wypowiedzi z tamtych lat, wychodzące z ust ludzi niejednokrotnie o wysokim poziomie intelektualnym, dotyczące innych jeszcze problemów, związanych z rozwojem radia. Miriam — Z. Przesmycki powiedział na przykład, że „radio usunie z powierzchni ziemi słowo drukowane”.

Na tym tle szczególnie cenne były głosy rozsądku, w rodzaju wypowiedzi T. Boya-Zełńskiego. Jeszcze w 1927 roku pisał on:

„wszyscy ci, pozorni antagoniści, są w istocie na dłuższą metę tylko sojusznikami. To samo mówi się, że gazeta zabija książki, ale policzmy nakład książki w epokę przedgazetowej!”

Wszystko to świadczy, jak trudne było wówczas to, co nazywamy myśleniem perspektywicznym. Czy jest ono łatwe dla nas?

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEKTOR

Zdarzeni A. I. Zwierzeni A

TEORIA I PRAKTYKA SLOGANOLOGII

Reklama i propaganda są to pozornie tylko dwie różne sprawy. Według słownika Kopalińskiego: propaganda — „rozpowiadanie, szerzenie, wyjaśnianie...”. Hasła — „reklama” — u Kopalińskiego nie ma, i słusznie, nie jest to bowiem wyraz na tyle obcy, aby go trzeba wyjaśniać. Łacińskie „reclamatio” znaczy wskazywanie, a WEP wyjaśnia ów termin tak: „czynność i środki zmierzające do zwrócenia uwagi...”

Rola propagandy polega również na „zwróceniu

uwagi” na problemy, sprawy, zjawiska.

Łącząc więc te dwie sprawy, bowiem bardzo często różnica między reklamą a propagandą zaciera się dość dokładnie. Swojego czasu ogłoszono konkurs na hasło reklamujące Polskie Linie Lotnicze. Jedną z nagród otrzymał Melchior Wańkowicz za slogan „LOT-em blisko”. Jest to oczywiście typowy, choć nie najlepszy, slogan reklamowy, ale przecież służy on propagandzie polskiego lotnictwa pasażerskiego.

Inny slogan Wańkowicza

z okresu międzywojennego: „Cukier krzepi” — służył także propagandzie gospodarczej. Był to zresztą slogan znakomity, a za taki można uznać hasło nie wymagające komentarza, zwięzłe, trafiające do wyobraźni. Oczywiście Adolf Dymyza wymyślił natchniony replikę: „Wódka krzepi”, lecz taki zabieg tylko siłą i zakres oddziaływania sloganu poszerzył.

Podobnie było z innym sloganem Wańkowicza — „Szczypa soli, szczypa cukru”. Ludzie zrobili z tego kalambur: „szczypa soli, szczypa cukru, ale nie szczypa kucharki...”

W wypadku sloganu reklamowego, propagandowego nie trzeba się bowiem bać, iż stanie się on przedmiotem parodii. Zart towarzyszący reklamie poszerza tylko pole działania sloganu.

Prosty przykład z „Coca-cola”. Agnieszka Osiecka (tak, tak!) jest autorką słynnego hasła: „Coca-cola to jest to”. Firma, która nam licencję na ów napój sprzedała, zakupiła parę wiel-

kich ogłoszeń w prasie, wykonała trochę plansz z owym „To jest to” i... przestała inwestować w slogan. Nie było potrzeby.

Dalej bowiem hasło poszło w Polskę już za darmo, albo raczej za państwowe pieniądze. Otóż przejrzałem centralne tygodniki z miesiąca po ukazaniu się w Warszawie plansz ze sloganem Osieckiej. I co się okazało? Dosłownie w każdym piśmie, w dziesiątkach felietonów, rysunków, notek satyrycznych slogan był przedmiotem żartów, parodii i kpin... Czyli — spełnił swoją popularyzatorską rolę.

Tak, jak „Cukier krzepi” pamiętamy i znamy jako twórcę określonej sytuacji dwudziestolecia, tak „To jest to” będziemy pamiętać przez lata. Dziś już właściciele koncernu „Coca-cola” nie muszą w popularyzację sloganu inwestować. Hasło „chwyciło”, a „chwyciło” dlatego, że autorka odwołała się do dosyć zabawnej historii i mitologii „Coca-coli”, która przez czas jakiś była u nas syno-

nim zachodniej zgnilizny. W sloganie Osieckiej jest owa metafora, synteza i podtekst — tak nieodwołany w „poetyce” sloganu.

Przejdźmy jednak do spraw poważniejszych, także przecież zamykanych w formule sloganu. „Trzy razy tak” — najcenniejszy slogan polityczny PRL i to nie dlatego, że niósł tak ważne treści i decyzje. „Trzy razy tak” było hasłem zwycięstwa, zwycięstwa w sobie — tak wiele przy minimalnej ilości słów. Bo slogan nie może być przegadany.

Zdarzyło się to natomiast innemu hasłu — „Cały naród buduje swoją Stolicę”. To już nie był slogan, to po prostu było zdanie z referatu. A przecież ta dosłowność, te kropki nad „i”, wcale nie są w hasło potrzebne. Hasło to zawołanie, symbol.

Na szczęście dziś do podobnego celu nie używa się całego zdania. Wystarczy zawołanie „Zamek”, bądź „Konto-Zamek” i wiadomo przecież o co chodzi, o jaki Zamek — i cały naród buduje swój warszawski Za-

mek, bez pomocy sloganowego wielosłowa. Bo wielosłowie jest niepotrzebne, ba — jest wręcz zabójcze dla hasła.

Nie wszyscy to jeszcze rozumieją. Opowiadał mi znajomy, że pewna wydawnicza instytucja zwróciła się do niego o hasło do plakatu. Zaproponował: „Tobie Polsko — mocne dlonie”. Zaczęto kiwać głową. Takie to jakieś nieprecyzyjne, do czego niby te dlonie, warto by dodać, że do pracy... Wreszcie zaproponowano autorowi, aby do tego hasła, składającego się z czterech słów napisał... uzasadnienie na stronę maszynopisu.

Nie wiem, czy ów autor komentarz napisał, jeśli tak — było to na pewno trudniejsze niż wymyślenie zwycięskiego hasła. W każdym bądź razie ten felieton nie będzie czymś w rodzaju prolegomeny do sloganologii stosowanej. Ale stosowanej z wyczuciem słowa i znajomością „poetyki” gą-tunku.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

SZUM TEŻ KOSZTUJE!

O kodzie pocztowym napisał już wszystko, co trzeba, Marian Butrym w „Polityce” z 17 lutego. Jest to temat zbyt łatwy do prześmiewek, więc ruszamy go tylko na tyle, że sama nasza hurra-nowoczesna poczta własnych zarządzeń nie stosuje i przysyła mi rachunki za telefon adresowane tradycyjnie, bez żadnych tam kodów, nawet z tym samym tradycyjnym błędem w imieniu, który na próżno usiłowałem kilka razy przed laty sprostować. Taki rachunek, ze stemplem nadawczym UTM Łódź z 10

lutego, dociera do adresata, tzn. do mnie, zamieszkałego w tejże Łodzi, 15 lutego, czyli na cztery dni przed ostatnim terminem płatności. Jeżeli w ciągu tych czterech dni nie pobiegnę opłacić należnej sumy — pięćdziesiąt dni telefon głuchnie na amen, a jego ponowne włączenie kosztuje dodatkowe 50 złotych, nie licząc mnożstwa wędrowek, rozmówek, pyskówek.

Zeby było pikantniej — rachunek przychodzi w dniu, kiedy telefon odezwał się po raz pierwszy od dwóch i pół tygodnia. Przez

dwa i pół tygodnia tylko szumiał, i właśnie za ten szum mam zapłacić według podwyższonej — przepraszam: opartej na rzetelnej kalkulacji — taksy. Za szum wcale niezbyt melodyjny i raczej do szczęścia niepotrzebny.

Potrzebna mi jest natomiast ciągła, nieustanna możliwość nawiązania kontaktu z wieloma ludźmi i instytucjami. Więc oczywiście dzwoniłem od sąsiadów do Biura Napraw, pod 04. Sąsiedzi zdążyli zaopatrzyć i zjeść kolację, zanim po iluś tam kręceniach tarczą odezwał się miły niewieści głos. „Przyjęłam” — powiedziała wreszcie pani i sąsiedzi odetchnęli z ulgą.

Po trzech dniach kręciłem znowu. W biurze. Interesanci, przybyli do nas z wielu stron, przestępowali z nogi na nogę, maszyniści przestali stukać w klawisze. Pani spod 04 uprzejmie zawiadomiła, że ma wielki nawal reklamacji, a niewielu mon-

terów, żebyśmy czekał jeszcze najwyżej do jutra.

Po dalszych paru dniach i wielu niestrudzonych kręceniach tarczami różnych aparatów ktoś mi powiedział, że należy zadzwonić gdzie indziej, pod 300-16. Nie wiem, co to za komórka. Pani w tej komórce była w każdym razie zdumiona: dlaczego nikt panu nie powiedział pod numerem 04, że to nie pański aparat jest uszkodzony, tylko kabel?

— Nie wiem, proszę pani, dlaczego. Ale jeżeli kabel — to co dalej?

— To oczywiście naprawimy. Do poniedziałku. Przyjęłam.

Przed poniedziałkiem przyszedł monter, ale właśnie ten spod 04.

— Kto panu powiedział, że kabel? Tu jest zepsute! Drabinek pan ma?

Zaraz po pierwszym kupię. Tymczasem monter pożyty od dozorczy, wszedł, zszedł, otrząpał dlonie.

— Nie. To kabel. To nie ja. Do widzenia!

Po poniedziałku przyszedł czwartek. Szesnasty dzień szumu. Dzwonię pod 300-16. Jeszcze miłszy niewieści głos oznajmia, że „słowo daję, nie mam takiej reklamacji. Czy to do mnie zgłoszone?”

— Nie. Do słuchawki. Pod numer 300-16.

— Słowo daję, że nie mam. Zaraz, jeszcze poszukamy. — Lewe ucho zdążyło mi się spocić, zanim naprawę uczynna pani ukończyła poszukiwania. Niestety — zgłoszenia nie było. — Ale teraz już przyjęłam i załatwię!

I załatwiła tego samego dnia, za co niniejszym dziękuję. Widocznie nie było to wcale takie trudne. Widocznie miałem po prostu pecha i trafiałem na panie, którym nie zależało. Zaw-sze mam pecha...

Cóż, płaciłszy już duże rachunki za rozmowy w miesiącach, kiedy wcale nie

było nas w domu. Zapłaciłmy jeszcze za zepsuty kabel, skoro nie leży w ludzkich możliwościach rozliczenia abonentów zgodnie ze stanem faktycznym świadczonych usług. A skoro już o pocztę mowa, to jeszcze powtórzmy za M. Butrymem: czy nie można by doręczać przekazów poleconych, pieniężnych, paczkowych — po południu, a nie wtedy, kiedy nikogo w domu nie ma? Przecież od wielu lat po każdą taką przesyłkę musimy w praktyce biegać specjalnie na pocztę, przecież każda paczka jest przyniesiona do domu. Zabrana z powrotem, znowu przyniesiona — chodź za nią parę osób, tracąc wiele godzin, absorbując tysiące okienek, zapisując tysiące nieczytelnych zawiadomień, kwitków, upoważnień, potwierdzeń — ojej!

Co na to wszystko pomoże hurra-nowoczesny kod?

ĆWIEK